№ 51 Warszawa, dnia 5 (17) Grudnia roku 1881.




# I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.



## Od Redakcyi.

Pod temi samemi co dotąd warunkami, w tym samym formacie, z jedną zawsze illustracyą i z dodatkiem powieściowym, wychodzić będzie **Tygodnik Mód i Powieści** i w roku przyszłym 1882. Upraszamy o wczesne zapisy i dokładne wypisywanie adresów, aby zwłoki i omyłek w odbieraniu Pisma uniknąć.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

| | |
|---|---|
| **Kwartalnie** . . . | **rs. 2 kop. 50** |
| **Półrocznie** . . . | **rs. 5** |
| **Rocznie** . . . . | **rs. 10** |

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

### PRZYJACIEL DZIECI.

W przyszłym roku 1882 **Przyjaciel Dzieci** wychodzić będzie w powiększonym formacie ze stałym tygodniowym dodatkiem półarkuszowym dla mniejszych dzieci, i z illustracyą o ile można jak najstaranniej rozwiniętą. Dążność jednak główna pisma, miłej i pożytecznej zabawy, w niczem nie ulegnie zmianie i na szczególnem zawsze będzie baczeniu. W każdym numerze obok innych artykułów mieścić się będą: gawędy naukowe w różnorodnych przedmiotach wiedzy ludzkiej, obrazy historyczne, powieść obszerniejszych rozmiarów, wiersze, powiastki, wierszyki, szarady, łamigłówki i zadania arytmetyczne, a od czasu do czasu dawane będą komedyjki i dramata, oraz podróże i wiadomości z dziedziny wynalazków.

Z prac większego rozmiaru, mamy już przygotowane dwa opowiadania historyczne: *Wyprawa Henryka V na ziemie Bolesława Krzywoustego* i *Opowiadanie z wieku XII o Matusie i Pawliku z Kołoboża*. Po ukończeniu powieści obecnie drukującej się, rozpoczniemy zaraz oryginalnie napisaną p. t. *Elżunia Bohoni* z czasów Maryi Teresy i *Tajemnice oceanu*. Skutkiem tych zmian i ulepszeń cena prenumeracyjna powiększoną zostaje kwartalnie o kop. 25 i wynosić będzie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

| | |
|---|---|
| **Kwartalnie** . . . . | **rs. 1 k. 25.** |
| **Półrocznie** . . . | **rs. 2 k. 50.** |
| **Rocznie** . . . . . | **rs. 5.** |

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, redaktora Przyjaciela dzieci i Tygodnika Mód i Powieści w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

---

## PESTALOZZI
### jako
## człowiek i pedagog.

Skreślił

**Wiktor Czajewski.**

(Dalszy ciąg.)

Według mego zdania w niektórych miejscach ta książeczka ma jeszcze wady. W nowszych niemieckich wydaniach sprostowano i objaśniono ją nieco. Owe ćwiczenia nie następują już w tym porządku po sobie jak to dotąd było.

Dziś zmienione są i bardzo słusznie w następujący sposób: po pierwszym następuje 4-te 3, 6, 5, 2, 7, 8, 9, 10.

Słusznie ćwiczenie drugie odsunięto na dalsze miejsca gdyż tam już wchodzi liczba, która potrzebuje więcej sprytu i przytomności dziecka. Toż samo można powiedzieć o drugich ćwiczeniach...

Inne wydanie tejże książeczki bardzo się różni od pierwszej; tu zamiast *dziesięciu ćwiczeń*, znajdujemy już tylko *pięć części*, które w następnej formie nam się przedstawiają:

*Pierwsza część* mówi, a raczej przewodniczy matce, jak ma postępować z dzieckiem, chcąc w niem rozwinąć zdolność rozróżniania i naśladowania głosu ludzkiego. Aby ułatwić to zadanie w książeczce tej, matka lub nauczycielka znajduje cały szereg zupełnie głosów stucznych, poczynających się od zgłosek (sylab), które potrzeba powtarzać dziecięciu, wymawiając one już to wolniej już prędzej, a zawsze wyraźnie i dobitnie — nawet śpiewać — aby przez to odmienić ich brzmienie.

Przez takie ciągłe powtarzanie wbija się w pa-

mięć dziecka ta historya, a skoro nauczycielka lub matka spostrzeże, że ono korzysta z tej ograniczonej liczby słów i rozumie je, wtedy zwolna może wziąć nowy szereg nieco już trudniejszych i tak przechodzić ciągle do coraz to więcej złożonych.

Skoro już matka spostrzeże, że dziecię rozumie te słowa, wtedy zaczyna od początku, starając się nauczyć dziecko wymawiać kolejno jedno po drugiem.

*W drugiej części*, kiedy otrzyma się już z małego wychowanka materyał pojmujący, a przynajmniej rozumiejący wszystkie wyrazy, wtedy zwraca się jego uwagę na przymioty; potem przechodzi się do własności i czynności, wreszcie zwolna można zwrócić jego pojęcia na dwa podobne przedmioty, aby wyobrażenia jednej rzeczy, lub jednego przedmiotu porównywało z innemi mniej więcej podobnemi lub niepodobnemi przedmiotami.

*W trzeciej części* Pestalozzy uczy żeby dziecięciu przedstawić dwa różnorodne przedmioty i kazać określić różnicę np. pomiędzy zwierzęciem a kamieniem, ma się rozumieć, zwracając uwagę na tę punkta, na które dziecię jeszcze dotąd jej nie zwróciło wcale.

Tak coraz stopniowo przechodzi się od jednego do drugiego przedmiotu, aż wreszcie w *czwartej części* kładzie się już przedmioty jednego rodzaju, a nawet gatunku, tak że przy odróżnianiu dziecię musi już zwracać uwagę na coraz więcej drobne rzeczy, np. koń jest zwierzę czworonożne, którego nogi kończą się całemi kopytami, wół zaś jest zwierzęciem także czworonożnem, ale jego kopyta są rozcięte.

Przy takich suptelnościach i drobiazgach dochodzi się zwolna rozwijając coraz bardziej umysł dziecięcy, aż do *części piątej*, gdzie już pod jedną rubryką kładą się przedmioty jednakowej natury. Z całej tej części byłoby można ułożyć nową książkę, ktoraby obejmowała wyrazy najpospoliciej używane w kunsztach, rzemiosłach, historyi naturalnej, fizyce powszechnej, geografii i t. d.

Tak więc w swoich książeczkach dla matek, Pestalozzi wskazał prowadzenie dziecka od kołyski, kiedy zaledwie zacznie ono pojmować i rozróżniać przedmioty.

Sposób jaki podaje jest bardzo praktycznym, gdyż umysł dziecka zmuszony jest kształcić się i rozwijać z *pojęciem* jasnem każdej rzeczy, zwłaszcza gdy mu matka dobrze go opisze, np. koń ma cztery nogi, kopyta całe, uszy niewielkie, sterczące.

Wół różni się od niego kopytami rozerzniętemi, łbem, innym układem ciała, czerepem szerokim, ogonem, rogami i. t. p.

Piec od szafy różni się tem, że jest zrobiony z cegły lub kafli, ma małe drzwiczki i t. d.

Ciągłe i stopniowe rozwijanie pojęć jest najlepszą szkołą kształcenia umysłu. Gdyby nas zapytano zaś, która z tych książeczek lepsza, doprawdy nie zdecydowalibyśmy się oznaczyć. Metoda jedna i taż sama, a niezawodnie będzie ta lepsza, którą sobie nauczający lub nauczająca lepiej przyswoi.

Skoro już dziecię nauczy się rozróżniać wszystkie przedmioty, a przynajmniej przedmioty go okalające i pozna ich kształt i liczbę, wtedy przechodzi się do rachunkowości, jako przedmiotu najwięcej rozwijającego każdy umysł, a tembardziej dziecięcy.

Rachunek dzieli Pestalozzi na trzy grupy:

1) Rachunek spostrzegalny.

2) Władze myślenia albo kombinowania, do przedmiotów rzeczywistych zastosowane.

3) Znaki liczbowe, *ale tylko uważane za środki pomocnicze*.

Pierwsza grupa wyjaśnioną została już w książeczce dla matek, kiedy mówiono o jakości. Ażeby jednak lepiej ją uwidocznić i dobitniej przedstawić uczniowi—Pestalozzi nakreślił *tablicę pierwszą*, w której znajduje się sto równych kwadratów, w każdym z dziesięciu kwadracików pierwszej linii znajduje się jedna kreseczka, w drugiej linii dwie kreseczki, w trzeciej trzy i tak dalej aż do dziesięciu kreseczek, czyli ostatni rząd dziesięciu kwadratów posiada sto kreseczek.

Na tych kwadratach Pestalozzi zwykł obucząć swoich uczniów, gdzie wskazywał im nie suchą cyfrę, lecz wielkość. Oto jedna kreseczka, oto dwie kreseczki i t. d.

W drugiej tablicy, która przedstawia takiż sam kwadrat składający się ze stu kwadratów, podzielił na części i tak pierwszy rząd dziesięciu kwadratów pozostawił niepodzielony; w drugim rzędzie każdy kwadrat podzielił na dwie części, w następnym na trzy i tak dalej, aż do dziesięciu, a potem przedstawiał wielkość a raczej stosunek jednej części do drugiej.

Tak zwolna malec nieznając wcale znaków liczbowych, obuczał się arytmetyki, a nawet ułamków:

Prawdziwie misternie skombinowaną jest *trzecia tablica*. Przedstawia się ona tak samo jak i dwie wyższe, tylko z tą różnicą, że wszystkie sto kwadratów są podzielone inaczej.

Proszę sobie uwidocznić tabliczkę mnożenia Pitagoresa tylko bez liczb:

Otóż to jest ten kwadrat podzielony liniami równoległemi i prostopadłemi na 100 małych kwadratów w każdym rzędzie po dziesięć. Każdy taki kwadracik dzieli się jeszcze na pewną liczbę części. Pierwszy rogowy pozostaje nie podzielony, następne dwa dotykające dwóch stron są podzielone na dwie połowy; obok nich leżące dzielą się na trzy, potem cztery, pięć i t. d. Mamy więc następną figurę:

Pierwsza linia *pozioma* w tym kwadracie, zawierająca 10 małych kwadracików, przedstawia nam jeden cały kwadracik i następnie dziewięć kwadracików podzielonych na 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 10 części. Toż samo dzieje się i z pierwszym szeregiem kwadracików *prostopadłych* z tą różnicą, że pierwszy kwadracik jest wspólny szeregowi kwadratów linii *poziomej i prostopadłej*.

Ten sam podział zachowany jest i dalej; działy poczynione poziomo w pierwszym górnym szeregu dziewięciu kwadracików *poziomych*, dzielą w podobnym poziomym kierunku wszystkie dolnych szeregów poziomych, zawierających także po dziesięć równych kwadracików, a działy zachowane w pierwszym szeregu dziesięciu kwadracików *prostopadłych*, przecinają prostopadle następne dziewięć szeregów kwadratów tak, że otrzymujemy np. w 5-tym kwadracie *poziomym* a 3-cim prostopadłym 15-cie części, w 7-ym poziomym, 8-ym prostopadłym 56 części; w 10-tym poziomym i 10-tym prostopadłym, leżącym na przeciwnych rogach z niepodzielonym pierwszym kwadratem—sto części.

Na tej tablicy, do których zupełnie Pestalozzi liczb nie używał, uczył swoje dzieci rachunków ułamkowych.

Ażeby dać pojęcie o tym sposobie, najlepiej gdy przytoczę przykład:

$\frac{5}{8}$ dodać z $\frac{4}{7}$; ażeby to uskutecznić potrzeba przyprowadzić dwa te różnorodne ułamki do jednego mianownika. Otóż na tablicy tej szukamy takiego kwadraciku, któryby dzielił się na 8 *poziomych* i na 7 *prostopadłych* części.

Odnalazłszy na tej tablicy, każemy dziecku przeliczyć ile w nim będzie części, a gdy odpowie że 56, wtedy wskażemy mu, że jest to wspólnym mianownikiem dla obu tych liczb.

Co się tyczy licznika, to każemy dla pierwszego ułamku na podziale *prostopadłym* wziąć taką liczbę części, jaka znajduje się w pierwszym liczniku, a dla drugiego ułamku powtarzamy to na podziale poziomym, i tak ponieważ licznik pierwszego ułamku jest *pięć*, przeto wziąwszy pięć szeregów z kwadracików otrzymamy $5 \times 7$ prostopadłych czyli 35; druga liczba $4 \times 8$ równoległych jest 32 — czyli cały ułamek przedstawia nam się:

$$\frac{35}{56} + \frac{32}{56} = \frac{67}{56} = 1\frac{17}{56}$$

a gdy skrócimy te ułamki, otrzymamy ich pierwotną formę:

$$\left(\frac{35}{56}\overset{(7}{=}\frac{5}{8} \qquad \frac{32}{56}\overset{(4}{=}\frac{4}{7}\right)$$

Opoócz tych dogodnych i jasnych do zrozumienia rzeczy, Pestalozzi osiągał ze swojej tabelki jeszcze to, ze uczeń jego zarazem miał pojęcie naturalne o wielkości tej liczby, miał pojęcie o stosunku.

Teraz rachunkowość nie stawała się przedmiotem tak suchem, a oprócz tego z łatwością pojmował ją uczeń, a trafnemi kombinacyami rozwijał pośpiesznie swój umysł.

Jaką korzyść odnosili dzieci z tej nauki, nie potrzebuję dowodzić; każdy uczący sam pojmie to dobrze; z mojej strony przytoczę jednak tu słowa współczesnego mu nauczyciela Barrauda, który tak mówi:

„Przepędziliśmy zimę w Berthoud. Wielu uczniów pierwszej naszej klasy było w stanie rozwiązywać trudne dosyć zadania przez prostą arytmetykę, a to z rozumowaniem tak dokładnem, iż najmniej obeznany z rachunkiem, bez trudności mógłby się o tem przekonać.

„Napróżno przedstawiać regułę za regułą, napróżno przepisywać rabtularz do rabtularza: jeżeli się nie przysposobi dziecię radzić własnego rozsądku, nie rozwiążę nigdy podobnych zagadnień jakie tam dzieci 12i 13-letnie z łatwością rozwiązywały."

Do tego ogólnego rozwoju pedagogicznego musimy dołączyć jeszcze naukę czytania.

W roku 1801 wydał Pestalozzi niewielką książeczkę pod tytułem: *Sposób uczenia zgłoskować (sylabizować) i czytać*, a do tem jaśniejszego nauczania zrobił on na deseczkach cały alfabet, z którego układał początkowe sylaby, a potem wyrazy, zmuszając do uwagi swoich elewów, podczas gdy je ustawiał na przysposobionej umyślnie do tego tablicy, który to sposób znalazł zastosowanie w niektórych naszych szkółkach elementarnych.

P. Tobler, pedagog, rozpatrując ten system, uznał za lepsze inaczej postępować z dziećmi i przygotował długie wązkie linijki, na których napisany był alfabet, z tą różnicą, że każda zgłoska była 24 razy na każdej wypisaną. Sposób jednak jaki używał Pestalozzi, jest bez porównania lepszy, zwłaszcza, że przy nauczaniu swym elewom nie pozwalał się oderwać od tablicy zadając ciągle pytania: Wiele liter ma ten wyraz? Jaka jest pierwsza? Jaka jest pierwsza z drugą? Jak trzy pierwsze brzmią z czwartą?

Wiele jest sylab w tym wyrazie, jak brzmi pierwsza? Jak brzmi cały wyraz i t. d.

Ale cała nauka nie kończyła się w zakładzie na rozwinięciu dziecka; Pestalozzi kładł nacisk i na

inne nauki, uczył on geografii, nauk przyrodniczych i francuzkiego.

Cała jednak działalność Pestalozzego skierowana była na niższe warstwy społeczne. Chodziło mu głównie o niesienie pomocy tym, którzy znikąd jej się spodziewać nie mogli.

To też w każdej chwili życia nie przestawał myślić o niesieniu jakiejkolwiekbądź pomocy, któraby uszlachetniała duszę i umysł najniższych warstw społecznych — i kiedy nie stało mu już funduszu do prowadzenia szkoły i utrzymania dzieci: rodzin żebraczych i biednych wieśniaków, wtedy zabrał się do pisania powieści ludowych.

Wydany romans „Leonard i Gertruda" ogromne w swoim czasie wywarł na całem społeczeństwie wrażenie. W parę lat potem ukazały się rozmowy wieczorne pod tytułem „Krzysztof i Eliza" (1782 r.). Jest to dalszy niejako ciąg pierwszej książeczki. „Krzysztof i Eliza" w swoich pogadankach zastanawiają się nad losem „Leonarda i Gertrudy".

Więcej jednak popularną była „Gazeta Szwajcarska dla włościan". Trudno mi tu obszerniej zatrzymywać się nad tem pisemkiem. Brak miejsca nie pozwala mi wreszcie, jednakże nim skończę, muszę powiedzieć słów parę o wydanym w roku 1783 „Traktacie prawa kryminalnego", gdzie szczególniej zatrzymuje się on nad paragrafami „O dzieciobójstwie". Wszystko to pisze z niesłychaną obrazowością, językiem niezwykle prostym i zrozumiałym dla wszystkich. Wykład ten popularny miał na celu zabezpieczyć wiele sierot zrodzonych w nędzy, od morderstw, jak z drugiej strony wykazać złym lub zmuszonym do tego kroku matkom, straszne jego następstwa.

Był to pomysł bardzo dobry; żałuję mocno, że dziś jeszcze nie powtarza się to w naszych pismach ludowych.

Niemniej ciekawym jest objawem demagogicznej jego literatury (*moje*) *badania nad postępami natury w rozwijaniu człowieka*. Rzecz bardzo rozumnie traktowana i z prawdziwie pedagogiczną jasnością.

Starzec już pięćdziesięcio-paroletni nie opuszczał rąk nigdy i coraz silniej usiłował wpłynąć na oświatę ludu.

Wydawane jednak książeczki nie były w stanie wywrzeć takiego wpływu, jaki wywiera żywe słowo, dlatego więc, nie mogąc założyć dziś już własnego domu wychowania dla sierot, a to z braku funduszów, postanowił zostać *bakałarzem wiejskim*.

Za pośrednictwem dyrektora Le Grand oraz za jego protekcyą miał otrzymać od rządu szwajcarskiego zarząd zakładu edukacyjnego w kantonie Argowii.

Nieszczęście chciało, że właśnie wtedy wybuchła wojna w kantonie Unterwalden. Straszne były jej skutki. Miasto Stantz obrócone w perzynę przedstawiało smutny widok — tem boleśniejszy, że duch narodu upadł i zachwiał się silnie. Nędza i głód szarpały go naprzemian.

Wycieńczony kraj przez wojska francuzkie i urzędników, był doprowadzony do ostateczności.

Cała praca prawie ćwierć wiekowa i wszystkie usiłowania najszlachetniejszych ludzi z uśmierzonem powstaniem w dolinie Renu w Schwyz, Appenzell i Unterwalden została obrócona w perzynę. Najpiękniejsze siły zniszczone. Nie dość na tem, w 1800 r., jakby zło chciało, cała Szwajcarya zmienia się w widownię wojny, toczonej między wojskami austro-rossyjskiemi, a francuzkiemi; wreszcie zniesienie dyrektoryatu i ustanowienie tymczasowej komisyi wykonawczej 8 października, rady wykonawczej 27 października, i senatu wykonawczego 25 grudnia 1801 roku zmieniło cały obrót interesów krajowych i jego położenie.

Nic więc dziwnego że i bakalarstwo Pestalozzego w Argowii nie przyszło do skutku.

Zrozpaczony starzec z żalem w sercu patrzył na zniszczenie, ale nie tracił nadziei, z którą łączył zawsze podźwignięcie swojej ojczyzny. W swoich pamiętnikach (*Selbstbiographie*) wydanych w 1824 roku, opisuje on te straszne wypadki. Znać jednak w nim siłę ducha i wytrwałość charakteru — bo kiedy — Le Grand proponuje mu udać się na miejsce do zniszczonej krainy, Pestalozzi bez wahania przyjmuje je, aby pracować nad podźwignięciem ducha, a z nim i siły narodu.

*(D. n.)*

---

## SONET JESIENNY.

Czas pędzi hyżym lotem, jak szybki prąd rzeki,
Mijają dnie i lata, w nich sekund miliony, —
Czy pamiętasz tę chwilę gdyś drżący, wzruszony,
Wyszeptał do mnie ścicha: kocham cię na wieki!...

Wtedy wiosna wswych darach była dla nas względną,
Kwitły róże, jaśminy wśród naszych uniesień...
Dziś z drzewa liść opada i kwiaty już więdną,
A chłodny powiew wiatru zwiastuje nam jesień...

I teraz — kiedy smutkiem tchnie cała przyroda,
Lubię myślą powracać do pory wiosennej,
Do rojeń — które snuła wyobraźnia młoda, —
Do róży, do słowika, do tęczy promiennej,
I pytam cię, mój luby, powiedz — czy nie szkoda
Tych skarbów rozproszonych w naturze tak zmiennej?

*Emilia.*

---

# ZBRODNIARZ W CHATOUS.

Przez

JERZEGO PRICE.

Matematyk Edward Tautin był to młodzieniec prawdziwie oryginalny.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, nikt nie daje się tak owładnąć poszeptom wyobraźni jak matematycy. Niezawsze umieją zastosować w życiu ład i ścisłość przewodniczące ich wywodom; nawyknienie rozwiązywania różnych zadań i rozumowania w myśl z góry obmyślanej hipotezy, staje się powodem iż w wielu okolicznościach życia zastosowywają tę metodę, wybornie nadającą się do dociekań naukowych, ale zawsze prawie zawodzącą w codziennem życiu.

Tautin nie stanowił pod tym względem wyjątku. Od lat dziecinnych okazywał wielkie zdolności do matematyki; zdał egzamina z chlubnem odznaczeniem, i gdyby nie to że posiadany majątek zwalniał go od szukania środków utrzymania w jakimś obranym zawodzie, byłby mógł zostać jednym z najznakomitszych profesorów matematyki. Tautin był średniego wzrostu, brunet, z prześlicznemi czarnemi oczami i ładną czarną brodą. Ubierał się zawsze starannie i elegancko; ruchy miał swobodne i zręczne, do czego przyczyniała się niezwykła biegłość we wszystkich ćwiczeniach ciała, w które wprawiał się pod kierunkiem ojca swego, dawnego pułkownika artyleryi.

Pod względem moralnym był wybornym kolegą, bardzo uczynnym, nikomu nieodmawiającym usługi lub pomocy. Miał mieszkanie w Paryżu i mały domek w Pecq. Czasami rzucał się w wir zabaw i uciech; wyprawiał wesołe biesiady, na których miał minę nowego zadziwionego gościa. Brał loże w małych teatrach i zapraszał do nich młodych mężczyzn i młode kobiety, ale zdawać się mogło że nie oni jego ale on jest ich gościem. Po tygodniu takiej pohulanki znikał z horyzontu na miesiąc lub dwa, aby znów pojawić się niespodziewanie, znów pohulać i znów zniknąć.

Liczni jego znajomi i koledzy przezwali go Tomix, tworząc tę nazwę ze skrócenia „Fantôme X." (widziadło X.), którą mu nadali z powodu jego niespodziewanych pojawiań się i znikań. Gdzie się obracał i co robił podczas tych nieustannych nieobecności? Oto wyjeżdżał do swej małej własności w Pecq, którą nazwał villą Cosinus, gdzie miał bogatą bibliotekę obejmującą wszelkie dzieła traktujące o matematyce, począwszy od Euklidesa do Legendre'a, i tam szperał w nich, obliczał, rozwiązywał zadania, kierowany wyłącznie zamiłowaniem ulubionej nauki.

Obdarzony szczególniejszym zmysłem wyciągania wniosków, uganiał się za wszystkiem co mogło mu nastręczyć do tego sposobność. Wywody matematyczne obróciły mu się w nałóg, i jak ów bohater ulubionego jego autora Edgara Poë, August Dupin — nie znał większej przyjemności nad czytanie sprawozdań ze śledztw kryminalnych, które wyjaśniał i rozstrzygał w swoim gabinecie.

Oto mały fakt, dowodzący przecież, że ulubiona jego nauka oddziaływała na wszystko co czynił, w najmniej nawet znaczących drobnostkach.

Przechodziliśmy bulwarami około kawiarni Heldera; zaproponowałem mu aby wstąpił ze mną do jednego z moich przyjaciół, pracującego w redakcyi „Figaro" przy ulicy Drouot. Zgodził się na to. Otóż tak ja, jak każdy, szedłby w tym celu wprost chodnikiem bulwaru, aż do ulicy Richelieu, tam przeszedłszy przez środek, wszedłby na chodnik po prawej stronie ulicy Drout i szedłby nim aż do N-ru 26. On zaraz przed kawiarnią zszedł na środek, pociągając mnie za sobą, i z narażeniem rozjechania przez nieustannie przesuwające się powozy, przeszliśmy go ukośnie, aż do chodnika z lewej strony ulicy Drouot, poczem znowu schodząc na środek, szedł nim ukośnie aż do miejsca gdzie wznosi się gmach redakcyi. Na zapytanie dlaczego każe mi odbywać tak niezwykłą drogę, odpowiedział: ponieważ bulwar i ulica tworzą dwa prostokąty, zatem trzymałem się dwóch linii przekątnych, przez co skróciliśmy sobie drogę o jakie dwie minuty.

— Tak, narażając się sto razy na przejechanie, odrzekłem.

Nie przytaczając tu różnych dziwnych okoliczności jego życia, opowiem tylko jedną do której byłem wmieszany, a która wywarła stanowczy wpływ na całe jego życie.

Dnia 23 lipca, 187... r. odebrałem następujący telegram.

„Do Paryża z Pecq, piąta godzina.
„Przybywaj natychmiast. Sprawa nadzwyczaj ważna. Tautin."

Dawne znajomości i wzajemnie oddawane sobie usługi, jakoteż ta okoliczność, że posiadałem domek w Port-Marly, co nastręczało nam sposobność częstego widywania się z Tautin'em, zamieniły stosunki koleżeńskie w węzły ścisłej przyjaźni. Zaniepokojony nieco, wsiadłem na pociąg pośpieszny odchodzący o dwadzieścia minut na siódmą a o siódmej dzwoniłem do drzwi villi Cosinus.

Tomix siedział przy biórku w swoim gabinecie; mocno zmarszczone czoło dowodziło, iż jakiemiś ważnemi zajęty był myślami.

— Najpierw powiedz mi, rzekłem wchodząc, czy jest to coś złego coby ciebie dotyczyło?

— Bynajmniej! dowodem tego jest, iż najpierw zjemy obiad, abyśmy mogli potem bez przeszkody rozmawiać długo i spokojnie.

— Więc dlatego abym zjadł z tobą obiad, przysyłasz mi telegram: „Przyjeżdżaj natychmiast?"

— ...„Sprawa nader ważna", dokończył. Alboż wyborny obiad jaki nam przyrządziła moja Małgorzata, nie jest sprawą wielkiej wagi? Lecz jest jeszcze inna; tylko że jak powiedziałem, długo o niej mówić trzeba, więc zjemy pierwej obiad.

— Słówko tylko: Czy odnosi się to do kogoś coby nas blizko obchodził?

— Nie zdaje mi się, odpowiedział.

— Jakto! nie zdaje ci się?

— Czy prócz mnie, masz tu w okolicach kogoś z blizkich przyjaciół?

— Nie, tylko znajomych sąsiadów.

— A więc mam ważne powody sądzić, że to...

— Co, to?

— Co ci powiem, a co odnosi się do kogoś z tej okolicy, nie przeszkadza ci spokojnie zjeść obiadu.

Powiedział to z tajemniczą miną, która zaciekawiła mnie niewymownie, nie nalegałem jednak, gdyż znając go, wiedziałem, że się to na nic nie przyda.

Obiad rzeczywiście był wyborny. Przebywając zawsze prawie w domu, z wyjątkiem rzadkich wyż wspomnianych wycieczek, Tomix pragnął mieć w nim wszelkie wygody. Małgorzata była doskonałą kucharką; miał piękną stołową bieliznę, stare srebra familijne, piękne kryształy i zastawy stołowe; znał się i lubił dobrą kuchnię i nieraz tak myślał nad urządzeniem smacznego obiadu, jak gdyby obliczał ilość integralną. Na kominku w jego gabinecie stało zawsze pudełko najlepszych cygar.

Jakkolwiek obiad był rzeczywiście wyborny, jednak niecierpliwie oczekiwałem końca; gdy nareszcie przeszliśmy do jego gabinetu, usiadłszy w fotelu rzekłem:

— Słucham cię.

— Dobrze, za chwilkę... Małgorzato! zawołał.

— Co pan rozkaże? zapytała wchodząc.

— Przygotuj pokój na pierwszem piętrze.

— Dla kogo? zapytałem przestraszony.

— Dla ciebie! odrzekł. Zapomniałem powiedzieć ci, że zabawisz u mnie tydzień.

— Tydzień!...

— Co najmniej!

— Ach! ależ...

— Nie ma żadnego ale! Nic cię nie zmusza wracać do Paryża — możesz więc zrobić to dla mnie.

— A! skoro o ciebie chodzi...

— Przypuśćmy, że o mnie... Zresztą sam zobaczysz.

— Niech więc będzie jak żądasz... Pozwól mi tylko wysłać telegram do Ryszarda, aby mi tu przysłał rzeczy... Doprawdy, dziwak jesteś, nie mogłżeś zawiadomić mnie o tem w przysłanym telegramie?

— Bah! tobyś był nie przyjechał. Telegram wyślesz jutro rano, i polecisz Ryszardowi żeby sam je tu przywiózł — będzie nam potrzebny.

— Kto? mój służący?

— Nie inaczej. Wszak możesz mu zaufać?

— Jestto dawny mój ordynans z 14-go pułku huzarów; nie opuszcza mnie od lat siedmiu... ale cóż Ryszard...

— Słuchaj a dowiesz się. Powracałem dziś z Paryża; w jednym ze mną wagonie jechało trzech mężczyzn. Dwóch z nich wysiadło w Nanterre, trzeci, który jechał dopiero z Rueil, wysiadł w Chatou. Gdy i ja miałem opuścić wagon, znalazłem na ziemi tę kartkę, złożoną w ośmioro.

I wyjąwszy list z szuflady biórka, podał mi go.

— Wszak widzisz, dodał, że list ten napisany na ćwiartce papieru, złożony jest bez koperty.

— Tak, i zaadresowany:

„Do pana X. Y. 31.
Poste réstante. Rueil."

— Czy zwróciłeś uwagę na stempel pocztowy?

— Tak, widzę, że list przyszedł z Londynu.

— Mówiłem ci już, że był złożony w ośmioro i nieco zgnieciony, jak gdyby przez otwór przy guzikach wsunięto go pod rękawiczkę. Rozłożyłem ten papier machinalnie, a zobaczywszy że to list, miałem już złożyć go napowrót, gdy wtem uderzyło mnie... co i ty zobaczysz rozłożywszy.

Po rozłożeniu, zobaczyłem najpierw dwie litery „B. P. —" a następnie pięć wierszy rozmaitych liczb, pojedyńczych, podwójnych i potrójnych. Przypatrywałem się z takiem zadziwieniem że aż Tomix głośno się roześmiał.

— Założyłbym się, że nie wiesz co to ma znaczyć, rzekł.

— Zdaje mi się, że niepodobna...

— Źle ci się zdaje, kochany przyjacielu. Ma to znaczyć po prostu:

*„H. musi koniecznie zniknąć przed upływem ośmiu dni."*

— Czy sprowadziłeś mnie po to, aby żartować sobie ze mnie?

— Cóż znowu! mówię seryo.

— Więc przeczytałeś te liczby?

— Naturalnie; słuchaj mnie bacznie przez dziesięć minut, a i ty potrafisz przeczytać.

— Żartuj zdrów!

— Weź list i uważaj co mówię. Czy masz choćby słabe pojęcie o steganografii.

— Najmniejszego nie mam; tyle jednak pamiętam po grecku, iż wnosząc ze źródłosłowiu, pojmuję iż jest to nauka o skrytopiśmie.

— Wybornie! Zatem powiem krótko, że odnośnie do zajmującego nas listu pisanego liczbami, istnieje trzy rodzaje krytopisma: 1) alfabetyczne, czyli takie w którem jakiebądź znaki przedstawiają litery; 2) kryto-słowne, w którem pewne znaki przedstawiają już nie litery ale całe słowa; 3) nareszcie krytopismo kratkowane, w którem kratka z papieru lub cieniutkiej blaszki, przykrywając znaki zasłania wyrazy niepotrzebne, a przez jej otwory ukazują się tylko obejmujące prawdziwe znaczenie i cel listu.

— Zawsze się dziś czegoś nauczę od ciebie.

— Tak więc list, który ci dałem, musi koniecznie być napisany jednym z tych trzech sposobów. Zaczniemy od pominięcia krytopisma kratkowanego...

— A to czemu?

— Ponieważ mamy tylko pięć wierszy liczb, a więc przez wycięte w kratce miejsca zamało widocznych słów by pozostało, a potem, że nigdy prawie nie używa się tego systemu łącznie z liczbowym. Przypuszczam więc, że mamy do czynienia z którymś z dwóch innych sposobów: albo z alfabetycznym w którym dwadzieścia cztery liter przedstawiają jakieś umówione liczby pojedyńcze lub złożone — ale w tym razie to jest niemożebne.

— A to czemu?

— Zaraz się wytłomaczę. W razie gdyby litery przedstawione były przez pojedyńcze liczby, jedna liczba oznaczałaby jedną, dwie dwie litery, i t. d., a przedział między liczbami oznaczałby przedział między słowami. Otóż przelicz z ilu numerów składają się pierwsze liczby?

— Pierwsza pojedyńcza, następnie piętnaście liczb podwójnych, dalej...

— Dość tego. Więc oznaczałyby *piętnaście słów składających się z dwóch liter* a czy jest taki język, aby można w nim ułożyć frazes mający sens, z piętnastu słów złożonych z dwóch liter.

— Zdaje mi się że taki język nie istnieje.

— Teraz przekonamy się, czy czasem liczby złożone nie przedstawiają liter. Proszę napisz jakikolwiek krótki frazes.

Wziąwszy papier i ołówek, napisałem:

*„Tomix skończy niezawodnie na tem, iż dostanie się do domu obłąkanych."*

— Dziękuję za miłą przepowiednię, ale uważaj na składające je litery.

— Jedne się więcej, drugie mniej razy powtarzają, i tak *e* cztery razy, *o* pięć razy...

— Dosyć, tak musiałoby być zawsze ilekroć frazes obejmuje więcej jak 24 liter. A ileż jest liczb złożonych w tym liście?

— Czterdzieści sześć, i jedna powtarza się dwa razy.

— Zatem trzebaby 45 liczb na oznaczenie 24 liter, co jest nieprawdopodobne. Dalej liczby jakie mamy przed oczami nie muszą także przedstawiać wyrazów, który to system wykonywa się w ten sposób, iż osoby korespondujące mają jednakowy słownik obejmujący wszelkie wyrazy, po jakie sto na stronnicach numerowanych. Ponieważ stronice zawsze prawie mają wyższe nnmera jak ilość wierszy, zatem np. 120 oznaczać będzie stronnicę a 62 wiersz i słowo.

— Wybornie! teraz rozumiem! zawołałem zaciekawiony.—Cóż dalej.

— Ostrożnie przyjacielu, bo i ty pójdziesz za mną do domu obłąkanych, rzekł śmiejąc się, a po chwili dodał. Nie jest to jednak krytopismo przez słowa; list zaadresowany jest „X. Y. 31, posté restante", co dowodzi, że adresant nie chciał odebrać go *u siebie* zapewnie z obawy, aby ktoś nie zobaczył; musiał więc wytłomaczyć go sobie z domem. Trudno przypuścić aby nosił z sobą taką grubą księgę, gdyż mógłby ją zgubić, lub co gorzej mógłby ktoś inny odgadnąć sposób i z łatwością odczytywać tajemniczą jego korespondencyą. Musiał więc zapewnie obrać książkę, którą wszędzie znaleźć można, aby jej nie potrzebował nosić. Czy nie domyślasz się jaka to być może?

— Chyba kalendarzyk Bottin'a.

— Tak, już same litery B. P. Bottin, Paryż, naprowadzają na tę myśl, tylko że nie brano całych słów ale początkowe ich litery. Oto masz Bottin'a, pisz jedna za drugą litery, trzymając się tej zasady, że większa wskazuje stronnicę, druga wiersz.

Po kilku minutach poszukiwania napisałem.

Menestertodotransehdisparescaanteschodias.

— A teraz, wszak równie dobrze jak ja znasz język hiszpański, rozdziel więc według niego ten szereg liter, a wypadnie: Menester todo transe p disparesca ante ocho dias, co przetłomaczywszy wypada: X musi koniecznie zniknąć przed upływem ośmiu dni.

— Ach! prawda!

— Tak odczytawszy ten list, zdaje się, nie można wątpić, że chodzi tu o popełnienie zbrodni; wyraźnie X jest to ktoś zawadzający dwom korespondentom, i zamierzają go się pozbyć.

— Tak się zdaje.

— Czy nie bierze cię ochota odegrać w tym razie rolę Opatrzności, zostać policyą *in partibus* i pokrzyżować plany dwóch widać wielkich łotrów, skoro taką osłaniają się tajemniczością.

— I owszem.

— A więc od jutra zaczniemy działać; a dziś naradźmy się jak się wziąć do tego. Najpierw musimy wykryć kto jest ów pan X Y 31.

— Wszak jechałeś z nim w jednym wagonie?

— Tak, ale z takiem zajęciem czytałem nowe dzieło matematyczne, iż wcale nie zwróciłem na niego uwagi; a zresztą i to być może, iż to nie ów pan co wsiadł w Rueil a wysiadł w Chatou zgubił ten list znaleziony; tyle tylko jest pewnem, że odebrał go w Rueil, a wszystko wnosić każe, iż chodziło mu o jak najprędsze odcyfrowanie, musiał więc niezawodnie wejść do jakiejś cukierni i zażądać Bottin'a, wiedząc że rzecz tak zwyczajna żadnego nie może obudzić podejrzenia.

— Bardzo być może.

— Wiesz także iż pomimo, że w Rueil jest wiele cukierni, prawdopodobnie zaledwie w dwóch lub trzech znajduje się ten „Rocznik".

— Niezawodnie.

— A więc jutro zaraz jedziemy do Rueil i wywiemy się zręcznie, czy dziś ktoś z gości żądał „Rocznika"; w Rueil zapewnie nie często się to zdarza, będą więc pamiętać niezawodnie kto to był lub przynajmniej jak wyglądał, a tak więc będziemy na tropie.

— A jeśli wskażą nam kilka osób?

— Mogłoby się to zdarzyć, ale zastanów się nad tem: list przyszedł z Londynu, a pisany jest w języku hiszpańskim, należy więc wnosić, ze adresant jest Anglikiem lub Hiszpanem... Wprawdzie jestto tylko prawdopodobieństwo; przyznaj jednak, iż gdyby udało nam się dowiedzieć dowodnie, że wczoraj po odejściu pociągu, ktoś, którego powierzchowność zdradzała pochodzenie angielskie lub hiszpańskie, wczytywał się długo w „Rocznik Bottin'a" z jakąś kartką w ręku, będzie to taki zbieg okoliczności, wziętych oddzielnie bez żadnego znaczenia, ale nagromadzenie ich mogłoby prawie starczyć za dowód.

— Mnie się zdaje, że musi to być Hiszpan.

— Z początku i ja tak sądziłem, wnosząc z tego że list liczbowy napisany jest po hiszpańsku — ale po namyśle zacząłem o tem powątpiewać, a to z dwóch przyczyn. Najpierw, że przez wyrachowaną ostrożność użyto właśnie obcego języka, a ta uwaga nastręcza jeszcze domysł, że osoba, której się obawiają lub o którą chodzi, posiada język angielski i francuzki ale nie zna hiszpańskiego. Powtóre, że frazes w języku angielskim trudniej daleko byłoby odczytać z pomocą Bottin'a, gdyż język ten daleko więcej różni się od francuzkiego niż hiszpański. Nie dowodzi to prawdzie nieodbicie, że adresant jest Anglikiem, przemawia tylko za tem, że może nim być zarówno jak Hiszpanem.

Tak więc teraz idźmy spać, jutro jedziemy do Rueil, a rezultaty wstępnego śledztwa wskażą nam co czynić dalej.

*(D. c. n.)*

---

# BAL MASKOWY.

Nowella z angielskiego.

---

(Dokończenie.)

Nie jestem w stanie dać odpowiedzi, ale moje milczenie aż nadto jest wymownem. Oblicze mego męża pokrywa się chmurą dumnego bólu, który mi sprawia nieopisaną boleść. Osuwam się na fotel; oczy zachodzą mi mgłą, mąż mój i wszystko co go otacza, wiruje w mej głowie—po raz pierwszy w mem życiu zemdlałam...

Kiedym przyszła do siebie, siedziałam znów na fotelu z głową opartą na ramieniu Hugona, który objął mnie rękami i patrzał z troskliwością w oczy. Jesteśmy sami; widać nie wzywał niczyjej pomocy, czuję tylko silną woń eteru i widzę że mam głowę obficie zlaną wodą. Otwieram na chwilę oczy, ale powieki ciężko mi opadają. Zostaję w tem położeniu, nie zdając sobie sprawy, jak to się wszystko skończy. Hugo stara się otworzyć mi usta i wlać trochę wina, które się znalazło pod ręką. Piję kilka kropel i opuszczam głowę na jego piersi.

— Lepiej ci, Norciu? pyta, a na moją potwierdzającą odpowiedź odetchnął swobodniej. Takieś mnie przestraszyła! mówi, śmiejąc się trochę nerwowo i uczułam silniejszy uścisk jego dłoni. Widocznie zmiękł widząc mnie tak słabą.

— Czy byłabyś w stanie wysłuchać moich wyjaśnień, tyczących się owego bileciku?

— Ja nie chcę żadnych wyjaśnień, mój najdroższy! odpowiadam, tuląc się do niego. Przebacz mi tylko i kochaj, bo, dodałam płacząc rzewnie, ja żyć bez ciebie nie mogę!

— Masz zupełne prawo wymagać wyjaśnienia— rzekł łagodnie. Gorzko żałuję, żem wprzód tego nie uczynił: oszczędziłbym ci tylu niepotrzebnych cierpień, ale żal nic nie pomoże. Powiedz mi tylko, czy będziesz mi ufała?

— O najzupełniej! rzekłam bez tchu prawie.

— Czy pewno? odparł Hugo i spojrzał mi w oczy. Tyle w tem spojrzeniu było prawdy i miłości, że gotowam mu była wierzyć aż do śmierci.

— O, mój najdroższy! przebacz, żem na chwilę zwątpiła o tobie, ale ty nie wiesz, com ja wycierpiała!

— Właśnie tego się obawiałem — rzekł smutnie, gładząc mnie po głowie. Powiedz mi tylko, czy masz się już zupełnie dobrze, bo historya, którą usłyszysz smutną jest i przykrą?

— Jeśli tu o mnie chodzi. to jestem dość silną; jeśli to jednak tobie ma sprawiać przykrość, nie opowiadaj mi wcale.

Ale Hugo zaczął:

— Autorka tego nieszczęsnego listu i towarzyszka z wczorajszego balu nazywa się Teresa Daventree a raczej Teresa Fairburn i jest siostrą moją przyrodnią, młodszą o lat kilka. Kochaliśmy się zawsze, jak brat z siostrą. Przed kilku laty Teresa poznała i pokochała niejakiego kapitana Fairburn: był to szuler, hulaka i łotr skończony, ale umiejący się podobać kobietom. Teresa miała duży majątek i była piękną — był to więc łakomy kąsek dla kapitana; nie omieszkał się o niego postarać. Ja wtedy tylko co wróciłem z Irlandyi, byłem wielkim gorączką i moje oburzenie na szaleństwo Teresy nie miało granic. Widząc co się święci, dołożyłem wszelkich starań, aby wyzwać kapitana i tym sposobem jego związek z moją siostrą uczynić niemożliwym. Naprożno! kapitan zrozumiał, o co mi chodzi i zręcznie się wywijał. Skończyło się na tem że prosił o rękę Teresy. Daremnie groziłem Teresie że zerwę z nią wszelkie stosunki i zupełnie się jej wyprę. Widząc że jestem nieubłagany, a mając do wyboru między mną a narzeczonym, wybrała tego ostatniego, jak zresztą na jej miejscu zrobiłaby każda kobieta.

Tu Hugo zatrzymał się chwilkę, a ja przytuliłam się do niego, widząc smutek rozlany po jego twarzy.

— Wkrótce po ślubie stało się, com przeczuwał. Biedna Teresa (mówiła mi o tem wczoraj), przeżyła kilka tygodni szczęścia i zachwytów, potem nastąpiło przebudzenie i smutna pewność że jej mąż jest istotą na wskroś przesiąkłą fałszem i zepsuciem.

— To okropne!

— Bezwątpienia. Otóż kapitan strwonił cały jej majątek na zbytki i rozpustę najniższego rodzaju i w końcu otwarcie ją znieważał i doprowadził do nędzy. Nie chciała odwoływać się do nas: duma i miłość dla tego nędznika zamykały jej usta. Wreszcie mąż ją opuścił i musiała lekcyami zarabiać na życie. Biedna Teresa! Ach! jakże przeklinam moją dumę i surowość, które skazały tę biedną istotę na tyle cierpień bez pociechy i pomocy ze strony rodziny.

— Przecież nic o tem nie wiedziałeś — szepnęłam.

— Powinienem się był domyślić — rzekł z goryczą. Po upływie kilku miesięcy udało się Teresie znaleźć przytułek u pewnej zacnej wdowy, która potrzebowała towarzyszki dla swojej córki. Teresa zwierzyła się jej ze swej smutnej tajemnicy i obiedwie kobiety otoczyły ją najczulszą opieką. Ich to właśnie spotkaliśmy w Luwrze i z niemi Teresa była wczoraj w Operze. Miss Doncaster chciała koniecznie widzieć bal maskowy i poszła tam z Teresą pod opieką swego brata. Przed pójściem na bal spotkała swego męża z jakąś kobietą, z którą zamieszkał w tym samym hotelu, gdzie stała pani Donkaster: na liście hotelowej ta dama figurowała jako żona kapitana Fairburn.

— Co za straszna historya! Ale czemużeś nie przyprowadził Teresy wczoraj do nas?

— Bóg ci zapłać, Eleonoro! rzekł gorąco. Jutro zaraz pójdę po nią i rozmówię się ostatecznie z jej mężem. Gdyby nie moja obojętność, nie śmiałby zapewne tak z nią postąpić.

Nastąpiła chwilka milczenia.

— Więc zgoda? rzekłam przerywając ciszę: nie prawda? Ach, mój najdroższy! nie wiedziałam, co się ze mną dzieje; chciałam umrzeć na samą myśl... Ale już mi przebaczasz? nie gniewasz się na twoją biedną, niemądrą żonę?

— Ha! cóż mam robić? rzekł z uśmiechem. Wszak widzisz, jestem bezbronny: umiałaś zażegnać mój gniew, Eleonoro. A wyznam ci szczerze, byłem strasznie rozgniewany. Nie powinnaś już nigdy tak mnie doświadczać.

— Oh, nigdy! odrzekłam. Byłam szalona, ale ten bal takiego nabawił mnie strachu, a twoja twarz zagniewana dokonała reszty...

I opowiedziałam mu z wszelkiemi szczegółami moje cierpienia i dziecinne niepokoje, wyznałam całą moją winę, a on się śmiał i przyciskał do serca.

Szara jutrzenka wdarła się do pokoju, na ulicy słychać było turkot powozów szybko toczących się po bruku, a myśmy jeszcze gawędzili. Czas było udać się na spoczynek. Kiedym wspięła się na palce, aby raz jeszcze na dobranoc pocałować w czoło mego męża, zdało mi się że wszystko, com przeszła, było snem tylko przykrym. Hugo mi przebaczył, bo przebaczać, jak mówi poeta, jest rozkoszą szlachetnych. Ale ja sama nie mogłam sobie darować żem zwątpiła na chwilę o moim szlachetnym, nieocenionym mężu. Cóż miałam zrobić? zmazać moją winę miłością bez granic...

Długie lata naszego szczęścia przeszły jak sen. Nasza ukochana ciocia Terenia zawsze jest przy nas, rozkoszuje się całą gwarną gromadką siostrzeńców i siostrzenic, którzy ją bardzo tyranizują, a kochają jeszcze więcej.

Nie potrzebuję dodawac że ten tylko jedyny raz przeszłam straszne męki zazdrości — tego potwora o zielonych oczach.

# KORESPONDENCYA

## ZE LWOWA.

*W Listopadzie.*

Sara Bernhardt. — Walka o bilety. — Gra tej artystki. — Nasz repertuar. — Opera. — Koncerty. — Książki. — Kolej żelazna z Jarosławia do Sokala. — Lwów ogłodzony. — Nasza Rada miejska. — Konkurs na dzieło o Janie III.—Kwestya pożyczki miejskiej.— Koło literackie.

Sara Bernhardt jedzie, jest w Wiedniu, Buda-Peszcie, przyjedzie i do nas—przyjechała! W mieście rwetes niesłychany: na miesiąc przedtem zamawiano bilety, sprzeczano się o ceny, o sztuki, jakie *diva* grać będzie, pożerano opisy jej sukcesów w Wiedniu, jej toalet przygnębiających bagactwem i pięknością, jej brylantów i t. d. Nakoniec zaczęto licytować miejsca i rzecz dziwna, w naszej wynędzniałej, wycieńczonej, zrujnowanej prowincyi, gdzie nie mamy kilku reńskich na roczną prenumeratę jedynego a ginącego z suchot literackiego tygodnika, lub na książkę, ofiarowywano 15 lub 20 złr. za krzesło w parterze a 60 do 100 złr. za lożę. Bo to Francuzka, szanowny czytelniku! Przytem trzebaż okazać się człowiekiem wysoce cywilizowanym, wykwintnym znawcą, umiejącym po francuzku i t. d. Przyznam się wam otwarcie że nie podzielam zapałów naszej publiczności. Niewątpliwie jest to bardzo dobra aktorka, ale takich we Francyi jest więcej. Inteligentna, spazmatyczka, realistka w pojęciu i wykonaniu, wszędzie gdzie ból lub namiętność objawia w wybuchach, w łzach, gdzie gwałtowność uczucia nic nie miarkuje, gdzie malować trzeba miłość namiętną, słowem w dramacie nowoczesnym, w postaciach z życia francuzkiego Sara Bernhardt jest wyborną. Ale gdzie oddać należy majestat kobiety, powagę, godność, gdzie namiętne nawet uczucia przysłania skromność niewieścia, gdy gwałtowną nawet pasyą miarkuje i kryje wstydliwość wypływającą z szacunku dla siebie, tam Sara Bernhardt nie dosięga. A już wcale daleko jej do ról bohaterek tragicznych! Słowem wolę Modrzejowską pomimo jej manierowania. Aż mnie kusi przeprowadzić porównanie, ale znam swój obowiązek kronikarza i wracam na nasz lwowski padoł. *Grube ryby* Bałuckiego, *Świat nudów* Paillerona i tegoż *Wiek niewdzięczny*, cieszące się z początku wielkiem powodzeniem, przestały przyciągać publiczność, tak się wszyscy chowali na Sarę Bernhardt. Nawet nowe operetki jak *Chusteczka królowej* Straussa i *d'Artagnau* Rejmana, nie zdołały wywrzéć wielkiego wrażenia. Nareszcie pojechała — odetchnął dyrektor — dałby Bóg tylko, żeby szanowny kierownik naszej sceny coraz mniej nas raczył operetkami. Niech się nie zraża tem, że *Domy polskie* Majeranowskiego lub *Horsztyński* Słowackiego, grają się przed pustemi ławkami. Tak będzie z początku i tak długo, dopóki dyrektor teatru psuć będzie publiczność farsami i poświęcać sztukę piękną sztukom monety.

Opera w najzupełniejszym upadku. Debiutują jakieś panie, ale znikają nazajutrz wraz z afiszem; tenora nie mamy wcale; bas był basem temu lat 20; sopran jest miły ale nie zna ani jednej nuty i śpiewa ze słuchu (sic!!!) nawet wielkie opery i brak mu wymaganych zewnętrznych warunków. Jeden p. Köhler się trzyma i zawsze mimo wieku, jest wybornym śpiewakiem — wszakże i on stanowić opery nie może.

Serya koncertów już się zaczęła. Niektóre przeszły niepostrzeżone. Zato piętnastoletni skrzypiciel p. d'Angremont niesłychanem cieszy się powodzeniem. Istotnie niepojętą jest rzeczą jak można dojść w tak młodym wieku do równie potężnej techniki a zarazem indywidualności w grze na najtrudniejszym może instrumencie.

Z książek, których kilka ukazało się przecie we Lwowie, wymieniamy ważniejsze. Wszystkie prawie wydane zostały nakładem niezmiernie czynnego domu pp. Gubrynowicza i Schmidta. Na czele musimy postawić drugie wydanie przekładu *Estetyki D-ra Karola Lemckiego*. Już sam fakt że książka tak poważnego zakroju i dość wysokiej ceny (7 złr.) rozeszła się w przeciągu lat kilku, dowodzi jej wartości. Toteż wydawcy przygotowując 2-gie wydanie, postarali się o wzbogacenie go nowemi reprodukcyami arcydzieł naszej sztuki: Matejki, Siemiradzkiego, Krudowskiego, Brandta, Gotlieba i t. d. Musimy dodać na pochwałę warszawskich drzeworytników, że niektóre ryciny (np. „Powrót z Golgoty" Krudowskiego, „Szajloki Jusyka" Gotlieba) są tak pięknie wykonane, że możnaby je wziąć za roboty najlepszych rytowników paryzkich. Cena również jest zastanawiająca, bo względnie do ilości rycin, może uchodzić za bardzo nizką. Ślicznym zbiorem poezyi obdarzył nas znowu Lenartowicz—*Rymy polskie*; zawierają one nieznane a godne mazowieckiego śpiewaka utwory. Paniom naszym polecamy wierszyki Władysława Bełzy pod tytułem *Matka*. Są to moralne nauczki w bardzo wdzięcznej formie podane a mające na celu oświecenie przywiązania dzieci do matki. Ładne rycinki ozdabiają książeczkę. Doroczne kongresy i zjazdy różnych ciał uczonych lub zawodów, oprócz innych korzyści specyalnych, mają i tę, że się ludzie i ludy zbliżają i lepiej poznają.

Węgry są dla nas, pomimo kilkowiecznych stosunków, krajem i narodem zbyt mało znanym. Historyczne Towarzystwo Węgierskie zaprosiło w tym roku Krakowską Akademią do wzięcia udziału w jego zjeździe, który się w końcu sierpnia odbywał w *Komitacie Sàros*, graniczącym z Galicyą. Akademia Krakowska wydelegowała prof. histor. austr. na wszechnicy krak. p. Stanisława Smolkę, syna znakomitego przewodniczącego Rady pańsтwa. Oprócz badań szczegółowych, których wynik autor pewnie później ogłosi, wydał on opis podróży swojej pod tytułem *Wycieczka do Węgier*. Jest to lekki przyjemny szkic opisowy. U tychże pp. Gubrynowicza i Schmidta wyszedł drugi i ostatni tom znakomitego dzieła: *System Ekonomii społecznej*, przez D-ra Leona Bilińskiego. Przystępne i wyczerpujące, zawiera ostatnie wyniki nauki, tak koniecznej dziś każdemu wobec różnorodnych prądów w społeczeństwie.— *Wieczna wojna*, studyum polityczne D-ra Bronisława Łozińskiego. Trzeźwo napisana rzecz, smutnej dowodząca prawdy, że wojny mogą być rzadsze, ale nigdy nie znikną z powierzchni ziemi.

Najwięcej jednak, jak to już wam pisałem w zagubionym liście, ukazuje się artykułów w kwestyach finansowych i ekonomicznych. Te kwestye też zajmowały przedewszystkiem ostatnią kadencyę Sejmu. Świeże właśnie ministerstwo nadało consortium pod przewodnictwem ks. Adama Sapiehy, koncesyą na wicynalną kolej żelazną z Jarosławia przez Rawę do Sokala. Ileż to ona budzi nadziei! Są i inne projekta, a tymczasem Lwów w wielkim strachu: zapowiadają że mięso dojdzie do ceny *jednego* złr. (60 kopiejek) za kilogram! Polityczne zdaje się powody skłoniły rząd nasz do wyjednania prawa o zamknięciu granicy dla bydła z Rossyi i Rumunii. Nie zrobiono jednak nic, aby podnieść chów bydła w Galicyi. Od Nowego Roku granicę zamkną — a co my jeść będziemy, niewiadomo. Rada miejska winna by się tem zająć; nieszczęście chce, że w tak trudnych dla Lwowa czasach mamy Radę niedołężną, w której przeważają żywioły niewykształcone. Żyjemy więc zostawieni na łaskę losu, który się wcale łaskawym dla nas nie okazuje. Jedyny akt szczęśliwy naszej municypalności, jest uchwalenie konkursu na najlepsze dzieło o Janie Sobieskim z powodu zbliżającej się rocznicy oswobodzenia Wiednia. Nagroda jest wysoka i godna miasta Lwowa.

Profesor Biliński wyborny ogłosił artykuł o potrzebie pożyczki, środkach jej zaciągnięcia i jej pożytkach, ale zdaje mi się, że do niej nie przyjdzie. Trzy miliony pożyczone teraz, kiedy kapitał jest tani, bo po 4 a najwyżej z amortyzacyą $4^3/_4$%, dałyby możność pokrycia cuchnącej rzeczułki Pełtwi, która przechodzi przez najważniejsze ulice, środkiem miasta, i rozszerza straszliwe wyziewy; zbudowania szkół, za pomieszczenie których drogie się płaci komorne; wybrukowanie miasta; wzniesienie muzeum przemysłowego, które się dusi w kilku salkach ratuszowych i t. d., i t. d. Ale pomimo namacalnych korzyści, większość Rady miejskiej nieprzychylna jest pożyczce, bo się boi długów. Na ślepy upór nie ma rady.

*Koło literackie* rozpoczęło swoje posiedzenia i swoją działalność. Prezydujący Dr. Ksawery Liske z powodu ciężkiej choroby, godność swoją złożyć musiał. Wybrano sympatycznego autora *Szkiców historycznych* D-ra Ludwika Kubalę. Do *Wydziału* koła weszli na ten rok: Ochorowicz, B. Goldman, poseł na sejm, Wł. Milowicz, Jan Amborski, Wł. Bełza, prof. uniw. Ronkowski. O czynności tego ciała doniosę w przyszłym liście.

# NOWE WYDAWNICTWA.

*Lira polska* — czyli zbiór najcenniejszych utworów poezyi naszej wszystkich epok, wyszła nakładem wydawnictwa B. Lesmana. Jest to książeczka pierwsza, a wszystkich ma być dziesięć. Cena każdej kop. 30.

*Kalendarz do zdzierania*, bardzo praktyczny w użyciu, wyszedł nakładem składu papieru Wł. Bednawskiego, w Warszawie przy ulicy Miodowej Nr. 497*b*. Cena kop. 50.

*Podarek dla dobrych dzieci*, przez Teresę Jadwigę, chlubnie znaną współpracowniczkę „Przyjaciela Dzieci", a zawierający 46 powiastek, ozdobiony 12 rycinami, wyszedł z druku nakładem Gustawa Sennewalda księgarza w Warszawie.

*Pod wiejskim dachem*, komedya w 5-ciu aktach oryginalnie napisana przez Józefa Wołowskiego. Skład główny w księgarni Gustawa Sennewalda w Warszawie.

*Historya literatury powszechnej* D-ra Jana Scherra, według szóstego wydania oryginału niemieckiego przełożona, w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona, wyszła w zeszycie trzecim tomu pierwszego nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa. Wydawnictwo całego dzieła ukończone zostanie w pierwszym kwartale roku przyszłego.

*Encyklopedyi wychowawczej* wyszedł tomu drugiego zeszyt 5-ty, czyli zeszyt 13-ty całego dzieła, i zawiera: Broscius przez S. Dickstejna; Brudzewski; Budynki szkolne przez Bol. Lutostańskiego; Burski przez Tyt. Świderskiego; Bursy przez Hen. Wernica; Bystrość przez J. K. P.; Bystrzanowski przez Piotra Chmielowskiego.

Encyklopedya wychodzi w zeszytach pięcioarkuszowych; każdy na miejscu kosztuje kop. 40, z przesyłką pocztową kop. 50.

*Szalona*, dwa tomy, powieść napisana przez J. I. Kraszewskiego — wydana nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

# Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Od kilku już tygodni otwarty został w Warszawie nowy zakład dobroczynny, nader potrzebny i użyteczny, powstały wyłącznie z ofiary p. Władysława Czarnieckiego, obywatela z gubernii Wołyńskiej. Jest to dom schronienia dla paralityków, i mieści się w zakupionym na ten cel domu pod N-rem 5078, za rogatkami Belwederskiemi. Obecnie zakład urządzony jest i upoważnony na osób dwanaście, później ma być rozszerzony dla osób 30 gdyż szlachetny ofiarodawca przeznacza na ten cel cały swój majątek. Cześć takiemu prawdziwie ewangelicznemu bogaczowi!

+ W ostatnich dniach z. m. zakończył życie w Lublanie dr. Jan Bleiweis, w 75 roku życia. Jak Czesi Palackiego a Węgrzy Deaka, tak Słoweńcy Bleiweis'a nazywali „ojcem narodu".

Jeszcze w r. 1843 zaczął on wydawać w Lublanie pierwszy tygodnik słoweński *Novice* czyli nowiny, czem przyczynił się głównie do obudzenia wśród Słoweńców ruchu narodowego. Od r. 1861 zasiadał w sejmie krajowym jako uznany przywódźca stronnictwa słoweńskiego, które aż do roku 1878 posiadało większość w sejmie Kraińskim. W r. 1880 hr. Taafe mianował go wicemarszałkiem sejmu. Jan Bleiweis zjednał sobie miłość narodu i uznanie obcych przez wytrwałą pracę i poświęcenie dla dobra swoich współziomków. Słoweńcy nie stanowili nigdy indywidualności historycznej, dopiero dr. Bleiweis zdołał podnieść ich z niższej sfery ludu do wyższego stopnia narodu, to też wieść o jego zgonie bolesnem odbiła się echem w sercach wdzięcznych rodaków, umiejących cenić zacną jego pracę i wielkie zasługi.

+ Angielki nie przestają domagać się praw wyborczych. Dnia 30 z. m. wieczorem odbył się w Bradford wielki mityng na rzecz przyznania samoistnym kobietom prawa wyboru do parlamentu. Zebrało się nań około 3,000 osób. Prezydowała pani Dunkan Mac Laren, siostra Jana Brigth'a; przemawiały wyłącznie tylko kobiety, a między innemi córka słynnego Ryszarda Cobdena. Na mityngu tym uchwalono przesłać do pierwszego ministra memoryał z żądaniem: ażeby przy pierwszej sposobności reformy prawa wyborczego, jaka wyjdzie z inicyatywy rządu, tenże domagał się, aby parlament rozciągnął prawo wyborcze na wszystkie samoistne kobiety angielskie, opłacające podatek. Trzeba przyznać, że pod tym względem Angielkom i Amerykankom nie zbywa na wytrwałości, a dotychczasowe niepowodzenia bynajmniej ich nie zrażają.

+ Około połowy z. m. odbyła się w Turynie wspaniała uroczystość położenia kamienia węgielnego pod wzorowy szpital ŚŚ. Maurycego i Łazarza, mający być zbudowany w Turynie; król Humbert przybył z Monza dla przyjęcia w niej udziału. Na obchód ten zaproszono przeszło 1,500 dostojników rodowych i urzędowych z całego półwyspu. Szpital stanie na drodze do Stupinigi i składać się będzie z wielkiego gmachu i sześciu pawilonów, obejmujących miejsca na 350 łóżek, mieszczących się w 24-ch infirmeryach. Każda taka infirmerya będzie mieć oddzielną salę anatomiczną, pokoje dla służby lekarskiej i ekonomicznej, osobny ogród i wszystko czego we wzorowym szpitalu wymagać można. Do koła placu przeznaczonego na budowę gmachu, wzniesiono trybuny dla króla, dworu, świata urzędowego i zaproszonych gości. Pod okazałym namiotem urządzono ołtarz, przy którym odprawił Mszę św. arcybiskup turyński, ks. Gastaldi. Węgielny kamień stanowił wielki odłam marmuru wydrążony w środku dla pomieszczenia w nim skrzyneczki, w której miano złożyć pargamin z podpisami, medalami i monetami złotemi i srebrnemi. Najpierw przemawiał do króla p. Correnti, wielki kanclerz orderów, prosząc aby raczył położyć kamień węgielny. „Racz, naj. panie ze stopni tronu zstąpić między żołnierzy pracy i stań się pierwszym robotnikiem nowego szpitala, rozpoczynając królewską dłonią gmach mający nauczać współczesnych i świadczyć potomnym, jak umiałeś spełniać obowiązki króla ludowego i chrześciańskiego rycerza." Król powstał i zbliżył się do ołtarza, przy którym przemówił znów do niego arcybiskup. Przypominając katolicki początek zakonu, dziękował królowi, iż idąc wzorem przodków swoich, wszystkie czynności swe rozpoczyna od Boga i religii. Wspomniał sławne czyny Humberta III założyciela Attacomby, Emanuela Filiberta, który wzniósł kaplicą świętego całunu, Wiktora Amadeusza II, fundatora słynnej bazyliki w Superdze i w. i. Zakończył temi słowy: „Wstępuj i nadal, naj. panie, w ślady wielkich naddziadów twoich, którzy kierowani wiarą, ze skromnych książąt wznosili się ciągle wyżej a wyżej; przebiegli jeden z najświetniejszych znanych w dziejach zawodów, aż stanąwszy u celu, wyzwolili ukochaną ojczyznę naszą od obcych najazdów i obdarzyli ją największem dobrem — wolnością i niepodległością." Po tem przemówieniu król i obecni podpisali złotem piórem akt założenia, który włożono w szklanną rurkę i umieściwszy w wyłożonej aksamitem skrzyneczce, wpuszczono wraz z nią w węgielny kamień. Zamknięto go marmurową płytą; poczem król srebrną kielnią zaczerpnął wapna podanego mu na srebrnej miednicy przez wielkiego kanclerza, i zalepił do koła kamienne wieko. Następnie, za pomocą dźwigni spuszczono marmur do przygotowanego dołu, i arcybiskup pokropił go święconą wodą, odmawiając odpowiednie modlitwy. Po ukończonym obrzędzie król opuścił Turyn, żegnany pełnemi zapału okrzykami tłumnie nagromadzonej ludności.

+ P. Wendel w Bostonie odkrył nową kometę; jest to już siódma z kolei odkryta w roku bieżącym. Po obliczeniu jej elementów, okazało się iż są bardzo podobne do elementów komety odkrytej przez Karolinę Hirschel w d. 15 grudnia 1791 r., którato kometa przeszła przez punkt największego zbliżenia się do słońca dnia 13 stycznia 1792 r. Jeśli dalsze spostrzeżenia potwierdzą tę analogią, będzie to nowa peryodyczna kometą należąca do nowego systemu słonecznego. W takim razie okres jej obiegu wynosiłby około lat 90, ostatecznie jednak nie można jeszcze tego rozstrzygnąć, gdyż niewiadomo czy niespostrzeżona, nie pojawiła się już raz lub dwa w tym okresie, a w takim razie okres jej obrotu wynosiłby w przybliżeniu 45 lub 30 lat.

+ Mikodo nie zatrzymuje się na drodze reform i postępu; jeźli rządy jego przetrwają dłużej i niezrażony trudnościami wytrwa w powziętych postanowieniach, w niedługim czasie Japonia dorówna najucywilizowańszym narodom. Obecnie ogłoszony został dekret cesarski, polecający zwołanie Zgromadzenia narodowego na rok 1890. Brzmi on jak następuje.

„My, dziedzic dynastyi przodków naszych, trwającej od przeszło 2500 lat, podnieśliśmy i rozwinęli naszą władzę cesarską, poniżoną i osłabioną w ostatnich czasach, oraz zaprowadziliśmy jedność władzy i działalności politycznej na całym obszarze kraju. Obecnie pragniemy przygotować ustanowienie konstytucyi, według której następcy nasi rządzić i panować mają.

„W roku 1875 utworzyliśmy Senat; w r. 1878 uchwaliliśmy Zgromadzenia prowincyonalne i departamentowe. Początkowania te miały jedynie na celu ustanowienie podstaw konstytucyi do której pragniemy stopniowo przysposobić naród, i sądzimy, że zrozumie on nasze zamiary. Przejrzawszy konstytucye różnych narodów, przekonaliśmy się, iż różnią się one z sobą, i każda zastosowana jest głównie do właściwego charakteru i usposobienia kraju, dla którego została ułożoną. Nadanie konstytucyi jest faktem nadzwyczaj ważnym, nie jest to rzecz łatwa ani wygodna, ale przeciwnie wymaga głębokiej rozwagi i pieczołowitości. Podnieść urok naszej cesarskiej rodziny, dokonać rozwoju naszej administracyi i rządu, zmienić dawny porządek i nakoniec urzeczywistnić śmiało nasze zamiary reform i postępu — wielkie to zadanie wkładające na nas ogromną odpowiedzialność wobec przodków naszych, patrzących na nas z góry. Chcąc zamiary nasze przywieść do skutku, postanowiliśmy zwołać przedstawicieli ludu i utworzyć Zgromadzenie mające się zebrać w r. 1890. Pozostawiając poddanym naszym czas potrzebny, rozkazujemy urzędnikom naszym, aby pod własną, ciężącą na nich odpowiedzialnością, przygotowywali umysły do utworzenia Zgromadzenia narodowego. Co się zaś tyczy organizacyi tegoż Zgromadzenia, oraz granic jego atrybucyi i władzy, te oznaczymy sami i ogłosimy w czasie właściwym.

„Ponieważ ogół łatwo daje się pociągać rozmaitym przedwczesnym postępowym dążeniom; zanadto śpieszy się ze współzawodnictwem, i powo-

dując się bezzasadnemi wieściami, zapomina często o kwestyach głównych i ważnych, — uznajemy pożytecznem teraz już oznajmić narodowi naszą chęć reformy, udzielając mu dobrych rad i obznajmiając go z już osiągniętemi rezultatami. Jeźliby jednak znaleźli się ludzie dążący do zaburzeń i pragnący zakłócić spokój publiczny, z zamiarem przyśpieszenia ustanowienia Zgromadzenia narodowego — zostaną ukarani według praw naszych. O czem niniejszem ostrzegamy poddanych naszych.

Z rozkazu cesarskiego, pierwszy minister

(podpisano) Sandżo."

+ We Francyi powstał zamiar przeprowadzenia kolei żelaznej przez Alpy, aby zaradzić stratom na jakie narażałaby kraj ten wykończająca się budowa tunelu przez górę Ś. Gotarda. Tunel ten zbudowany kosztem Niemiec, Włoch i Szwajcaryi, skróci znacznie drogę handlową między morzem Śródziemnem i środkową Europą, zatem wiele towarów przesyłanych dotąd przez Mont-Cenis a więc transito żelaznemi kolejami francuzkiemi, zwróci się na krótszą i mniej kosztowną drogę, z uszczerbkiem interesów francuzkich. Pojmując to dobrze, tak finansiści jakoteż ludzie dzierżący wodze rządu, rozmyślają jak zapobiedz niechybnym stratom. W tym celu Izba deputowanych wyznaczyła komisyą dla gruntownego rozpatrzenia całej kwestyi i wskazania środków zaradczych. Za najnieomylniejszy uważają wytworzenie komunikacyi dogodniejszej jeszcze niż przez tunel Ś. Gotarda. Obecnie Włosi i Niemcy cieszą się bardzo że zbudowaniem korzystniejszej dla handlu drogi, rządy ich zadały cios kolejom francuzkim i francuzkiemu handlowi, ale interes i handel nie kierują się patryotyzmem, i dlatego najniezawodniej żaden kupiec włoski lub niemiecki, choćby był najlepszym patryotą, nie zawaha się sprowadzać ze wschodu artykułów swego handlu drogą francuzką, jak tylko będzie ona tańszą i krótszą od niemiecko-szwajcarsko-włoskiej.

Dlatego też w myśl współzawodnictwa z tunelem Ś. Gotarda, Francuzi zamierzają przebić Alpy w innej miejscowości i zbudować kolej, któraby trasporta towarów zwróciła znów na koleje francuzkie. Kolej ta jest już prawie postanowioną w zasadzie, zachodzi tylko kwestya przeważnie technicznej natury, mianowicie w którem miejscu należy przebić Alpy dla zbudowania tunelu. Dwie góry nadają się do tego celu. Simplon, pamiętna w dziejach wojennych Francyi, — gdyż Napoleon I zbudował pierwszą w Alpach drogę szosową, oraz Mont-Blanc, znana głównie z wycieczek turystów starających się wdzierać na jej szczyty.

Tunel przez Simplon miałby 18,507 metrów długości i byłby wzniesiony o 702 metry nad poziom morza, a połączenie go z już istniejącemi kolejami, nie przedstawiałoby wielkich trudności. Tunel przez górę Mont-Blanc, miałby tylko 13,600 metrów długości, ale byłby wzniesiony nad poziom morza o 1074 metry, a połączenie go z istniejącemi kolejami byłoby daleko trudniejsze i znacznie kosztowniejsze. Pomimo to Francuzi przechylają się do ostatniego projektu, gdyż w takim razie i cały tunel i dochodzące do niego koleje znajdowałyby się na gruncie francuzkim, zaś przebicie przez górę Simplon rozciągałoby się w znacznej na terytoryum szwajcarskie, więc mogłyby wywiązać się pewne przeszkody dyplomatyczne, często nader trudne do usunięcia. Obecnie niewiadomo jeszcze, który kierunek obranym będzie; to tylko zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Alpy przebite zostaną, gdyż jak tylko Francuzi uznali iż tunel Ś. Gotarda oddziaływałby szkodliwie na ich handel, a nowa droga przez Alpy może temu zapobiedz — to niezawodnie trudności ani największe koszta ich nie powstrzymają i pieniędzy na ten cel nie zbraknie. Nagromadzone kapitały szukają ujścia i każdy projekt przemysłowy czy techniczny przedstawiający niejaką pewność powodzenia, może we Francyi być pewnym poparcia kapitalistów.

## OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

*Ubranie wizytowe z krótkim trenem.* Materya surah, w różnokolorowe pasy, służy do przybrania strojnej sukni z czarnej jedwabnej brokateli. Przy staniku dodany tylko wązki plastron, na spódnicy zaś upięta draperya, a u dołu szerokie plisowanie przysłonięte koronkowemi falbanami. Chusteczka i mankiety z żółtawego tiulu, garnirowane koronką wywodzoną kolorowo.

*Suknia krótka wieczorowa.* Przykrojona formą princesse z różowego atłasu, ma spódnicę zagarnirowaną falbankami, przedzielanemi drobniutkiem przemarszczeniem, stanik zaś i rękawy są całe przemarszczane. Do przybrania sukni służą koronki żółtawe. Szarfa oszyta koronką, spięta z boku bukietem róż. We włosach róże.

## Zawiadomienia.



W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa; — dla prenumeratorów na Warszawę — Prospekt wydawnictwa na r. 1882 Maurycego Orgelbranda; dla prenumeratorów na pocztę — Katalog wydawnictw księgarni Gebethnera i Wolffa oraz Prospekt wydawnictw na rok 1882 S. Lewentala.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 2 Декабря 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

**Dodatek.**

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 51 r. 1881.

# DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Kolin nie powtórzył go jednak i w kilka minut później, ulegając uprzejmym prośbom trzech sióstr, przyjął ich zaproszenie, i wszedł wraz z nim do szaletu. Młode nieznajome wprowadziły go do pokoju swego nieobecnego ojca, w którym podłoga była ułożona z niewypalanych cegieł, i gdzie nie było czuć wcale panującego na dworze upału. Wszystkie trzy starały się aby młody podróżny mógł być zadowolnionym z ich gościnności; Oliwia przyniosła mu nawet sama wodę w wielkim dzbanku w kształcie amfory, który trzymała zręcznie na ramieniu. Kolin widząc to, zaczął ją przepraszać upewniając że nie może na to pozwolić, aby się tak trudziła dla niego, i wyciągnął rękę do dzwonka.

Oliwia spojrzała na niego z zadziwieniem, a potem zapytała wybuchając śmiechem:

— Pan chciał zadzwonić? ale na kogo?

— Na służącego, gdyż nie mogę pozwolić na to, aby pani sama oddawała mi podobne przysługi!

— Na służącego! zawołała śmiejąc się Oliwia, mamy tylko jedną służącę, która obecnie zajmuje się przyrządzeniem dla pana jakiegoś posiłku.

— Doprawdy, przypomina mi pani Rebekę przy studni, rzekł Kolin, i sądziłem że mi pani ten dzbanek do ust przychyli.

Zanim dokończył tych słów, Oliwia już wybiegła z pokoju.

Podano Kolinowi skromny posiłek, z którego on sam tylko korzystał, gdyż piękne gosposie postanowiły jeść wieczerzę dopiero razem z matką. Czas upływał mu tak przyjemnie w tym gościnnym domku, że opuścił go ze smutkiem, gdy już nie mógł pozostać dłużej.

— Wszak pan odwiedzi nas jeszcze? zapytała żegnając go Oliwia.

— O! z pewnością, odpowiedział Kolin, i wtenczas pani przedstawi mnie swej matce.

Siostry stały czas jakiś na schodkach, żegnając jeszcze młodego Anglika przyjaznem skinieniem głowy, i odprowadzając go wzrokiem, a następnie weszły do pokoju z wyjątkiem Oliwii, która patrzyła za nim dopóki jej nie zniknął z oczu. Westchnęła głęboko wracając do domu; zdawało jej się że wszystko co ją otaczało, uległo zmianie, nawet książka którą Estera czytała przed przybyciem Kolina, już nie zajmowała ją wcale. Kolin ze swej strony odwracał się często aby choć spojrzeć na balkon, i żal mu było że był zmuszony opuścić ten raj prawdziwy, a wracać do Monako, które teraz wydawało mu się jeszcze podobniejszem do piekła.

## XVII.

### Lord Seaforth i córka jego.

Położenie Joanny nie uległo żadnej zmianie. Tak rzadko widywała matkę i braci że ich zupełna nieobecność nie mogła jej się dać uczuć tak bardzo, a z drugiej strony częściej teraz była razem z ojcem. Lord Seaforth uznał po wyjeździe żony, że obowiązek nakazuje mu zajmować się więcej córką, i dla tego oznajmił jej że odtąd tak ona jak jej nauczycielka będą razem z nim siadać do obiadu.

Skoro Joanna skończyła siedmnaście lat, lord Seaforth oddalił nauczycielkę, pozostała więc sama tylko z ojcem, co jednak nie zbliżyło ich więcej do siebie, ani też rozweselało wzajemnie. Jednak lord Seaforth uważał obecnie córkę za swą jedyną spadkobierczynię i przyszłą dziedziczkę Seaforth'u, okazywał jej więcej zaufania i wyznaczył pewną sumę pieniędzy, którą mogła obracać na miłosierne uczynki. Odtąd też możność wspomagania nieszczęśliwych stanowiła prawdziwą pociechę dla Joanny, ale nadewszystko opiekowała się dziećmi choremi lub osieroconemi. Życie jej było jeszcze bardzo smutne; nie mając obok siebie nikogo takiego coby ją kochał, i kogo ona mogłaby kochać prawdziwie, żyła jedynie wspomnieniami szczęśliwszej przeszłości, które same tylko osładzały jej ciężką teraźniejszość.

Tak niecierpliwie oczekiwany przez lorda Seaforth dzień 26 stycznia, w którym Godfred kończył dwudziesty piąty rok życia, miał nadejść dopiero za trzy miesiące.

Lord Seaforth siedzący w wygodnym fotelu, zdaje się oddawać jakimś przyjemnym marzeniom. Joanna czyta książkę przy świetle lampy, której blask oświetla jej śliczną główkę, a jasnym jej włosom nadaje połysk złota.

Opuszczone dziecię wyrosło na śliczne dziewczę, którego urocza postać musiała pochlebiać dumie ojca.

Suchy i przerywany kaszel lorda Seaforth przerwał głębokie milczenie panujące w pokoju. Joanna podniosła głowę, gdyż kaszel ten oznaczał zwykle że ojciec jej zamierzał rozpocząć rozmowę.

— Joanno! odezwał się nakoniec.

— Czego sobie życzysz, mój ojcze?

— Ile masz lat obecnie?

— W przeszłym miesiącu skończyłam ośmnaście.

— Tak mi się też zdawało, mówił dalej lord Seaforth. Jesteś już dorosłą panną, potrzebujesz bywać w świecie, zapoznać się z osobami w odpowiednim dla ciebie wieku. Prowadzimy tu życie zbyt dla ciebie jednostajne i samotne; musisz szukać rozrywki za domem. Dziś właśnie, dodał wyjmując list z kieszeni, odebrałem list od lorda i lady Ainsboro, którzy proszą abyś przybyła do nich na kilka dni. Nie obiecują wprawdzie, abyś u nich znalazła jakieś świetne zabawy, ale lady Ainsboro utrzymuje że nie ubiegasz się za niemi. Obecnie znajdziesz tam tylko ich zamężną córkę, najstarszego syna i najmłodsze dzieci. Co do mnie, szanuję bardzo lady Ainsboro, ponieważ wychowała dobrze dzieci, a nawet najstarszy jej syn rokuje najpiękniejsze nadzieje.

Lord Seaforth zamilkł na chwilę, jakby chciał zbadać jakie wrażenie sprawiły jego słowa, a potem mówił dalej:

— Przyjąłem zaproszenie w twojem imieniu, Joanno, zajmij się więc przygotowaniami do podróży. Masz przed sobą dwadzieścia pięć mil drogi, a że kolej nie idzie w tę stronę, pojedziesz powozem z twoją panną służącą.

Joanna zgodziła się chętnie na żądanie ojca; cieszyło ją to nawet że jednostajność jej życia choć na chwilę zostanie przerwaną, że pojedzie do domu w którym znajdzie osoby zbliżone do niej wiekiem i dzieci, a prócz tego nie zapomniała jak życzliwie przemówiła do niej lady Ainsboro, gdy ją kiedyś spotkała przypadkiem, wchodząc do zamku Seaforth.

## XVIII.

### Posiedzenia sądu przysięgłych.

— Czy nie chciałabyś, miss Joanno pojechać do Yorku, rzekł lord Ainsboro pewnego dnia przy śniadaniu; odbywają się tam obecnie posiedzenia sądu przysięgłych, i jeżeli tylko jesteś ciekawą zobaczyć jak się odbywają, lady Ainsboro i syn mój Edward z największą przyjemnością towarzyszyć ci będą. Ja sam pojechałbym tam chętnie, ale pilne zajęcia zatrzymują mnie w domu.

Joanna odpowiedziała iż bardzo pragnie zobaczyć coś tak zupełnie jej nieznanego, i we dwie godzin później udano się do Yorku. Lord zamówił sobie najlepsze miejsca, Joanna siedziała prawie tuż obok sędziów.

Gdy przyjechała, posiedzenie już było rozpoczęte, adwokat powstał wzywając pobłażliwości sądu dla obwinionego. Widok i głos mówcy nader silne wywarł wrażenie na Joannie, jak dźwięki znanej melodyi tysiączne nieraz budzą wspomnienia. Posłyszawszy ten głos pełny i dźwięczny, ujrzała nagle różne sceny ze swych lat dziecinnych przesuwające się przed jej wzrokiem. Blada ze wzruszenia, słuchała chciwie słów mówcy który tak wielki urok wywierał na nią, starając się zarazem zdać sobie sprawę co mogło być tego powodem.

Widząc jak wszyscy z ciekawością zwracali się ku mówcy, przypomniała sobie inne zgromadzenie, na którem także obecni zachwycali się wymową młodego człowieka, i czekała z niecierpliwością końca obrony, aby mogła rozjaśnić miotającą nią wątpliwość. Adwokat wyrażał się z wielką prostotą a zarazem tak przekonywająco, iż tak ją jak obecnych wzruszył głęboko; skończył nareszcie obronę, szmer podziwu i pochwał rozległ się w sali. Joanna spodziewała się głośniejszych oznak uznania; przyszły jej na myśl głośne okrzyki: brawo! brawo Seaforth!... które rozlegały się w innem miejscu i po innej przemowie. A jednak to ten sam mówca, to Godfred Seaforth, chociaż trudno go było poznać w tej wielkiej peruce i długiej adwokackiej todze.

Joasia słyszała że wszyscy zachwycali się świetną wymową młodego adwokata, i dopytywali się o jego nazwisko. Syn lady Ainsboro chciał także, stosownie do życzenia matki, dowiedzieć się o nie, ale Joanna zatrzymała go, mówiąc że mówca jest jej dobrze znany, ponieważ jest to Godfred Seaforth.

Przy wyjściu z sali tłok był tak wielki że zaledwie można było odszukać powóz lady Ainsboro. Joanna wyszła z sali wsparta na ramieniu Edwarda, niezdolna przemówić jednego słowa, jakby odurzo-

na, lecz kiedy powóz ruszył, wychyliła się przez drzwiczki i prawie machinalnie wyciągnęła rękę, w której trzymała białą chusteczkę. Spostrzegł to Godfred stojący jeszcze w tłumie, zadrżał i postąpił śpiesznie kilka kroków, jakby chciał zbliżyć się do powozu, potem zatrzymał się nagle, i zwracając się prędko do woźnego stojącego przy drzwiach, zadał mu jakieś pytanie, poczem przebiegł szybko ulicę, nie chcąc stracić z oczu powozu oddalającego się prędko.

XIX.

**Stokrotki kłamią.**

Nazajutrz rano Joanna obudziła się w usposobieniu na pół radosnem na pół smutnem. Był to ostatni dzień jej pobytu w Ainsboro, miała więc wkrótce powrócić do posępnego zamku Seaforth.

Jednak przy śniadaniu dowiedziała się że jeden z koni przysłanych po nią przez ojca zachorował trochę w drodze, i że z tego powodu będzie musiała przedłużyć o jeden dzień swój pobyt w Ainsboro. Wysłała natychmiast do ojca telegram uwiadamiający go o tem, ucieszona wypadkiem który pozwalał jej pozostać dłużej blizko Godfreda.

Tymczasem lord Ainsboro został zaproszony wraz z żoną i synem w sąsiedztwo, na wielkie polowanie, od którego nie mogli się wymówić, wyrazili więc tylko Joannie żal z powodu że ją muszą opuścić, i nie chcąc ją pozostawić zupełnie samą, postanowili że najmłodsze ich dzieci Marya, i Bertrand, usiądą razem z nią do obiadu.

Joanna chętnie zgodziła się na to, czując że w tak gorączkowem usposobieniu w jakiem znajdowała się obecnie, samotność byłaby dla niej bardzo uciążliwą. Nerwy jej były do tego stopnia podrażnione, że drżała posłyszawszy najlżejszy szelest, odgłos dzwonka przy drzwiach, lub turkot powozu.

Wkrótce jednak ten gorączkowy niepokój zamienił się w jakiś rodzaj otrętwienia. W miarę jak czas upływał nie przynosząc żadnej zmiany, z serca Joanny ulatała wszelka nadzieja. Podano nakoniec obiad, a w podobnym składzie rzeczy, obecność dzieci przyniosła jej prawdziwą ulgę.

Marya i Bertrand opowiadali jej długo o przyszłej podróży swej bony, która miała na jakiś czas pojechać do swej matki, a gdy Joanna zapytała czy matka ich bony jest już w podeszłym wieku, dzieci zapewniły ją z największą powagą, że matka Nany nie jest bynajmniej staruszką, i że najwięcej o dwa lata starsza od córki. Następnie Bertrand zaczął przygładzać rączką wijące się naturalnie włosy Joanny, a Marya przypatrywała się ciekawie w jaki sposób były ułożone, gdyż pragnęła bardzo widzieć czy gdy je rozpuści, spadają tak prosto jak włosy jej mamy. Następnie dziewczynka zapytała swej nowej przyjaciółki, czy się nie czuje zmęczoną.

— Nie, odpowiedziała Joanna, ale dla czego pytasz się o to?

— O! bo nam powiedziano że równie jak pani James, nasza teraźniejsza klucznica, nie jesteś przyzwyczajona do obecności dzieci, i że nie trzeba ci się naprzykrzać.

Rozmawiali tak jeszcze czas jakiś, gdy Bertrand odezwał się nagle:

— Papa i mama mówili dziś rano takie zabawne rzeczy! powtórzyłbym ci to zaraz gdybym tylko mógł przypomnieć sobie.

W tej chwili przyszła bona przypomnieć dzieciom że już czas aby udały się na spoczynek. Marya i Bertrand tak prosili Joanny, aby ich odprowadziła, że zastosowała się do ich życzenia. Dzieci rozbierając się szczebiotały ciągle, a następnie przyszła im ochota zmówić pacierz przy Joannie, i nie czekając na jej zezwolenie, uklękły przy niej, i odmówiły zwykłą modlitwę, którą zakończyły mówiąc:

— Dobry Boże! błogosław naszego ojca, matkę, i wszystkich naszych przyjaciół.

— Ty, Joanno, zawołał następnie Bertrand, jesteś także naszą kochaną przyjaciółką, a nasza bona mówi, dodał z trochę figlarnym uśmiechem, że może kiedyś zostaniesz naszą siostrą. Czy to prawda?

— O! ja mam nadzieję że tak będzie, zawołała Marynia; czy i ty także Joanno?

Dzieci szczebiocząc tak, wskoczyły do łóżeczek, ale ostatnie ich słowa zwróciły uwagę Joanny. Odeszła natychmiast do swego pokoju rozmyślając nad tem co usłyszała, i wkrótce przyszła do tego wniosku, że powinna jak najprędzej wyjechać z Ainsboro i nie wracać tam więcej.

Nazajutrz wydała rozkaz, aby powóz zajechał po nią o pierwszej po południu, a tymczasem ulegając prośbom swych małych przyjaciół, wyszła z nimi na przechadzkę w polę.

Był to śliczny poranek jesienny. Dzieci bawiły się zbierając dzikie owoce, a Joanna przychylała im gałęzie drzew których inaczej nie mogłyby dosięgnąć.

Mniej więcej w godzinę, Joanna czuła się tak znużona, że musiała spocząć pod drzewem. Marynia i Bertrand przynieśli jej pęczek stokrotek, które uzbierali przy drodze, i pobiegli dalej.

Joanna pogrążyła się wkrótce w smutnem zamyśleniu; zdawało jej się że była znów zupełnie zapomnianą, opuszczoną od wszystkich, nawet od Godfreda.

Ale czy mogła się dziwić temu. Jeśli dawniej okazywał jej tak żywe współczucie, to jedynie dla tego, że widok nieszczęśliwego, odtrąconego od wszystkich dziecka, musi obudzić litość w każdem szlachetnem sercu. Teraz okoliczności zmieniły się zupełnie, ona jest już słuszną panną, a Godfred zagłębił się całkiem w naukach, myśli o wyrobieniu sobie przyszłości, i stara się odznaczyć w obranym przez siebie zawodzie.

Biedna Joanna czuła to dobrze iż Godfred jest zawsze dla niej ideałem doskonałości, jednak żałowała w tej chwili że mu dała znak chusteczką, i teraz samo wspomnienie o tem pokryło silnym rumieńcem jej twarzyczkę.

Siedziała ciągle z pochyloną smutnie głową, nieczuła na piękność jesiennego poranku, gdy usłyszała za sobą szelest suchych liści, i odwróciła się z żywością. To Godfred! tak, Godfred stoi przy niej i wyciąga do niej rękę.

— A! zawołał, nakoniec znalazłem cię znów Joasiu!

— Ale drżąca Joanna zamiast odpowiedzi, pochyliła tylko głowę.

— A więc już zupełnie zapomniałaś o mnie? odezwał się wzruszony Godfred.

Joasia zwróciła na niego długie, pełne słodyczy spojrzenie, a potem spuściła znów oczy jakby olśniona widokiem kuzyna.

Godfred schylił się, zebrał kilka stokrotek rozrzuconych przez dzieci, i obrywając listek po listku, zaczął powtarzać: Czy mnie kochasz? trochę, z całej duszy, wcale nie. Stokrotki odpowiedziały dwa razy: wcale nie. Godfred zniecierpliwiony, rzucił na ziemię resztę kwiatków

— Dawniej, zawołał, odbierałem od was przychylniejszą odpowiedź, niestałe i zwodnicze kwiatki, równie niestałe jak Joasia. Tak, zostałem zupełnie zapomnianym, Joanna nie kocha już wcale swego starszego brata.

Joanna patrzyła w milczeniu na kuzyna, a wspomnienia z lat dziecinnych tłumnie stawały jej w myśli. Widziała się znów małą dziewczynką, siedzącą obok Godfreda nad brzegiem stawu w Seaforth. Czy tylko rzeczywiście widzi go teraz przy sobie? Nie dowierzała własnym oczom, nie mogła uwierzyć w tak wielkie szczęście. Patrzyła jeszcze czas jakiś w milczeniu na kuzyna, a potem odezwała się stłumionym i pełnym słodyczy głosem:

— Nie, Godfredzie, stokrotki skłamały, Joas. kocha cię zawsze jednakowo!

XX.

**Rozłączenie.**

— Jesteś więc zawsze moją dawną Joasią? rzekł Godfred z czułością; małą Joasią z galeryi, tylko zapewnie szczęśliwszą. Upłynęło już ośm lat od naszej ostatniej tam rozmowy, i teraz nie jesteś już tem samotnem i opuszczonem dzieckiem które pożegnałem wtenczas.

— Niestety! położenie moje nie zmieniło się wcale, jestem zawsze równie smutna i samotna jak dawniej, odpowiedziała Joanna smętnie.

— Sądziłem że w obecnem stanie rzeczy, tak położenie twoje jak stosunki z ojcem uległy korzystnej dla ciebie zmianie.

Joanna wstrząsnęła tylko smutnie głową.

— A czy on sam tylko winien temu? zapytał Godfred.

Wstrząsnęła znów w milczeniu głową, a po chwili zawołała mimowolnie:

— Czy mogę kochać tak bardzo tego który nie umiał cię ocenić!

— Jestże to jedyną pobudką twego postępowania? zapytał Godfred, w którego sercu już sama tylko myśl o tem budziła niewysłowioną radość. Powiedz mi, dodał, dla czego sądzisz się więcej jeszcze osamotnioną jak dawniej? Co pogorszyło twoje położenie?

— Czuję się nieszczęśliwszą jeszcze, odpowiedziała z westchnieniem Joanna, gdyż wspomnienie utraconego szczęścia podwaja mój smutek. Unosłeś z sobą, dodała drżącym od łez głosem, całe me szczęście .. O! Godfredzie, czemuż mnie opuściłeś!

— A jednak, odezwał się Godfred, pomijając ostatnie pytanie, wiele osób utrzymuje że wspomnienie szczęścia, nawet utraconego, jest już samo przez się prawdziwą pociechą, nieocenionem dobrem!

— Nie mogę podzielać ich zdania, odpowiedziała Joanna, przedtem łatwiej mi było pogodzić się z mym losem, bo nie znałam lepszego, dziś dręczy mnie to życie samotne, czcze i bezbarwne.

— A ja przyrzekłem ci w obec potretu naszego pradziada, rzekł z westchnieniem Godfred, że cię otoczę moją opieką i wynagrodzę ci wszystko co przecierpiałaś, i pomimo to dziś nie mogę nic, nic zupełnie dla ciebie uczynić. Los prześladuje nas oboje!

— Godfredzie! zawołała wtenczas Joanna, przez litość, powierz mi tajemnicę otaczającą twoje życie! błagam cię! pozwól mi podzielać twoje cierpienia.

Joanna oczekiwała z tak głębokiem wzruszeniem odpowiedzi kuzyna, jakby miała rozstrzygnąć dla niej kwestyę życia lub śmierci. Godfred wzniósł ku niebu oczy, jakby wzywał pociechy którą czerpał tam już nie raz w ciężkich chwilach życia; twarz jego pobladła, a do serca zaczęła się wkradać trudna do zwalczenia pokusa.

Jakiś głos wewnętrzny przemawiał do niego: Tak, tak, powierz twą tajemnicę tej dobrej i ślicznej Joannie, jej współczucie złagodzi twe troski. Zarówno twoje jak jej szczęście zależy od tego wy-

znania. Jakto! odezwał się głos inny, mógłżebyś obarczać podobnym ciężarem tak młode ramiona, niweczyć nieświadomość złego w tej czystej i niewinnej duszy?

Godfred spojrzał na kuzynkę z wyrazem gorzkiego smutku, i wyrzekł przytłumionym głosem: Niepodobna, nie mogę powiedzieć ci tego!

Wiatr jesienny szumiący wśród gałęzi drzewa, zdawał się jak echo powtarzać słowa: Niepodobna! tego powiedzieć nie mogę.

— Więc nie kochasz mnie już jak dawniej, rzekła Joanna zalewając się łzami, skoro nie posiadam już twego zaufania. Dawniej, byłam dzieckiem jeszcze, a jednak nie mieliśmy dla siebie tajemnic, teraz zaś...

W miejsce odpowiedzi Godfred powtórzył strofkę znanej powszechnie miłosnej ballady; potem przestraszony tem półwyznaniem swych uczuć, rzekł smutnym i poważnym głosem:

— Niestety! los wykopał głęboką przepaść między mną i tobą, droga Joasiu, i rozdzielił na zawsze nasze dwa istnienia, bo niewolno mi już myśleć o połączeniu mego życia z innem życiem. Jedynem źródłem z którego czerpię pociechę i siłę, są dla mnie wspomnienia utraconego już szczęścia.

— Czy już ma pozostać tak na zawsze? zapytała Joanna, czy jesteśmy skazani na to aby żyć jedynie wspomnieniami przeszłości? Czy przyszłość nic już nam dać nie może? Czy niepodobna oznaczyć kresu tego bolesnego rozłączenia?

— Tak, niestety! nie widzę go wcale, odpowiedział Godfred; potem dodał: Niech Bóg dodaje nam siły...

— Ah! gdybyśmy przynajmniej nie byli tak młodzi! zawołała Joanna,—życie wydaje mi się tak długie, tak strasznie męczące! Jak zdołamy go przebyć? Jak przetrwać to rozłączenie skoro jedno bez drugiego jesteśmy niczem... a zwłaszcza ja, o którą nikt w świecie się nie troszczy?

— O! Joanno, droga moja Joanno, czy mówisz prawdę? Czy rzeczywiście jestem wszystkiem dla ciebie?

W oczach jego błyszczała radość, jakkolwiek wymówił te słowa z wyrazem szczerego niepokoju i smutku.

— Tak, Godfredzie, odpowiedziała z naiwną szczerością; zanim poznałam ciebie, nie miałam ani jednego życzliwego serca, ani jednego przyjaciela, cóż więc dziwnego że bez ciebie cały świat dla mnie jest tylko pustynią.

Wyraz niewysłowionej radości rozjaśnił twarz Godfreda, ale usiłował opanować swe uczucia.

— A ty, Godfredzie, zapytała nieśmiało Joanna, czy kochasz mnie jeszcze jak dawniej, czy też stałam ci się zupełnie obojętną?

— Niech mnie Bóg uchroni od tego abym mógł kiedyś zapomnieć o tobie! Ty jesteś gwiazdą mojego życia, Joanno!

— A więc, Godfredzie, rzekła wyciągając do niego ręce, nie opuszczaj mnie, pomyśl jakie dziś jeszcze mam znów rozpocząć życie; pomyśl że wracam do domu w którym nikt mnie nie powita nawet przyjaznym uśmiechem, gdzie nikt nie tęskni za mną. Dla czego mielibyśmy się rozłączać? Zabierz mnie z sobą i pozwól mi brać udział w twych cierpieniach, żyć twojem życiem, lub umrzeć razem z tobą.

Mówiąc to patrzyła na kuzyna z wyrazem tej naiwnej ufności, którą przechowała w sercu od swych lat dziecinnych, tylko że teraz głębsze uczucie jeszcze ją wzmocniło.

Godfred pochylił głowę i twarz ukrył w dłoniach. Tyle już ciężkich zawodów spotkał na obranej przez siebie drodze! niezłomna stałość charakteru podtrzymywała go zawsze, nawet w najtrudniejszych dniach życia, i gotów był walczyć z nowemi przeciwnościami, ale patrzyć na cierpienia tak drogiej mu istoty, być świadkiem jej boleścij to przechodziło już jego siły. Co czynić?... Jakie powziąść postanowieuie?

Spojrzał dokoła niepewnym wzrokiem, jakby szukał tak potrzebnej mu teraz siły, i po chwili przyszło mu na myśl że najlepiej będzie odwołać się do szlachetnych uczuć Joanny. Przypomniał jej ową chwilę gdy wyszła z galeryi pewnym krokiem, zmuszając się do uśmiechu, aby ukryć swą boleść, i nie odbierać przyjacielowi odwagi.

— Droga moja Joasiu, rzekł błagającym głosem, pozostań i nadal moim dobrym aniołem, zamiast stać się przeszkodą na już tak ciernistej drodze mego życia. Bóg nie mógłby błogosławić naszego przywiązania gdyby zamieniło się w jakieś bałwochwalcze uczucie! Dopomóż mi, Joanno, abym mógł być tak odważnym i cierpliwym jak ty byłaś kiedyś. Uczyń to przez miłość dla mnie!

Słowa jego trafiły prosto do serca Joanny; zapomniała o sobie a stała się znów tem czem była zawsze: kobietą kochającą, gotową do najcięższych poświęceń i ofiar. Uścisnęła rękę przyjaciela i rzekła cichym ale pewnym głosem:

— Masz słuszność, tak być powinno!

— Niech cię Bóg błogosławi! zawołał Godfred. Dzięki tobie, wyraźniej teraz widzę przed sobą drogę, którą iść muszę! Ah! Joanno, byłbym tak szczęśliwym gdybym mógł ją przebiegać wraz z tobą! ale to być nie może.. przynajmniej obecnie; miejmy nadzieję że przyszłość okaże się dla nas szczęśliwszą! Teraz, żegnam cię, dodał i odszedł spiesznie.

Dzieci wróciły w kilka minut później, przynosząc uzbierane orzechy, i zadziwiły się widząc Joannę tak zamyśloną, że nie spostrzegła ich w pierwszej chwili. Nie było w tem nic dziwnego, wszakże w tym krótkim przeciągu czasu przeżyła więcej niż przez rok cały.

— Pewno było ci smutno że zostałaś tu sama, zapytał niespokojnie Bertrand. Szkoda że nie wróciliśmy prędzej.

Te słowa dowodzące szczerej o nią troskliwości chłopczyka, i połączone z pieszczotami, wzruszyły głęboko Joannę; ukryła łzami zwilżone oczy w jasne i długie włosy dziecka, i odpowiedziała:

— Nie, mój drogi Bertrandzie, nie jestem smutna.

Ale dźwięk głosu zdradzał jej wzruszenie, i Bertrand patrzył na nią ciągle niespokojnie, potem podniósł w górę szerokie rondo od kapelusza ocieniającego twarzyczkę Joanny.

— Chciałbym bardzo, rzekł zobaczyć dobrze twoje oczki.

Joanna zwróciła oczy na chłopczyka i uśmiechnęła się do niego.

— O! teraz to już widzę że masz taką jak zawsze śliczną i milutką buzię! zawołał Bertrand.

Rzeczywiście w tej chwili oczy Joanny błyszczały jakimś nieziemskim blaskiem.

## XXI.

### Pan Walkfast turystą.

Pani Seaforth wracając z Nicei, spotkała na drodze córki które wyszły naprzeciwko niej.

— Jakże przepędziłyście dzień dzisiejszy? zapytała.

— Bardzo przyjemnie, zawołała Oliwia; nigdy jeszcze w życiu nie bawiłam się tak dobrze.

— Jakąż to tak zajmującą znalazłaś sobie rozrywkę? zapytała Estera.

— Miałyśmy gościa, mamo, który był u nas prawie cały dzień.

— Gościa! któż to był? jak się nazywa? zapytała zadziwiona tą wiadomością matka.

— Był to młody człowiek przybywający z Monako, i bardzo przyjemnie spędziłyśmy czas w jego towarzystwie.

— Z Monako! zawołała przerażona Estera. Czy ojciec wasz powrócił? Czy to on przyprowadził tu tego pana?

— O! nie, odpowiedziała Oliwia, przyszedł tu sam, a taki grzeczny i miły! szkoda że go mama nie widziała.

— Ale powiedzże mi co to za jeden? Kto go tu doprowadził? Jak się nazywa?

— Jest to Szkot, odpowiedziała roztrzepana Oliwia, nazywa się pan Walkfast, Żyd wieczny tułacz, turysta.

— Walkfast! Walkfast! to nie jest szkockie nazwisko, rzekła pani Seaforth. — Źle, moje drogie dzieci, że przyjęłyście tu kogoś zupełnie wam obcego; kto wie czy to nie jakiś oszust, szuler, lub coś gorszego jeszcze.

— Szuler! ah! mamo, zkądże takie przypuszczenie? zawołała z żywością Oliwia. — Ten pan sam oświadczył że Monako jest najzgubniejszym w świecie miejscem, i wyznał, że przegrawszy raz znaczną, jak dla siebie sumę, stracił na zawsze ochotę do tak kosztownej i niebezpiecznej rozrywki. Skoro go tylko zobaczysz, droga mamo, przekonasz się że nie jest ani oszustem, ani szulerem; w przeciwnym razie nie mógłby mieć tak miłego wyrazu twarzy.

— Jakto, skoro go zobaczę! Czy on tu jest jeszcze? zapytała przejęta niepokojem Estera.

— Nie, odpowiedziała Oliwia, ale powiedział że przyjdzie tu jeszcze, a my prosiłyśmy go bardzo aby dotrzymał słowa. Zobaczysz go więc, droga mateczko i będziesz mogła ocenić go sama.

Po tej rozmowie Estera oddaliła się do swego pokoju smutniejsza jeszcze jak zwykle, gdyż przyszłość córek wydawała jej się jeszcze niepewniejszą jak dotąd.

Od tego dnia usposobienie Oliwii uległo widocznej zmianie. Była ciągle rozdrażniona, niespokojna, niezdolna zająć się pilnie żadną robotą, i zdawało się że oczekuje ciągle jakiegoś ważnego dla niej wypadku.

Dni jednak upływały, a pan Walkfast nie zjawił się powtórnie; aż nakoniec pewnego poranku, z rąk Oliwii, siedzącej obok matki w oliwnym gaju, wypadła robota — zwróciła z żywem zajęciem oczy na drogę, a silny rumieniec wystąpił na jej lica.

— O czem się tak zamyśliłaś, moje dziecię, zapytała pani Seaforth, zadziwiona tak nagłą zmianą wyrazu jej twarzy, i prawie olśniona pięknością córki.

— O! bo idzie tu! idzie do nas, mamo, zawołała Oliwia.

— Kto taki? zapytała matka.

Kolin zbliżał się rzeczywiście w tej chwili, z kapeluszem w ręku, z pełną uszanowania postawą, a wszystkie jego ruchy zdradzały prawdziwego gentlemana. Młody podróżny pochodził widocznie z rodziny zajmującej wyższe społeczne stanowisko; Estera odgadła to zaraz i podała mu rękę z uprzejmym uśmiechem.

Kolin powitawszy z uszanowaniem panią Seaforth, zwrócił się do Oliwii:

— Żałuję bardzo, powiedział, że nie mogłem przyjść prędzej, ale ważne interesa nie dozwoliły mi na to.

— Interesa w Monako? sądziłam że tam gra w karty stanowiła jedyne zajęcie, odezwała się Oliwia.

— Tak, na nieszczęście w Monako wszyscy myślą tylko o kartach; ale mnie obecnie interesa powołały do Nicei, odpowiedział Kolin, a twarz jego zasępiła się widocznie.

— A co pan miał do czynienia w Nicei? zapytała Oliwia. Spodziewam się że pan nie grał znów w karty?

— O! nie, z pewnością, odpowiedział Kolin poważnie. Chciałem koniecznie odkryć schronienie starego niepoczciwego lisa, który ukrywa się bardzo starannie.

— O jakim pan mówi lisie? zapytała Oliwia.

— Jest to człowiek znany mi dobrze z widzenia, ale którego nazwiska nie znam i nie pragnę się dowiedzieć. Zresztą panowie szulerzy niezawsze przyznają się do swego prawdziwego nazwiska.

— Córka moja została wychowaną w zupełnej nieświadomości podobnych rzeczy, dla tego też wszystko co pan mówi jest dla niej całkiem niezrozumiałem, rzekła Estera, przerywając rozmowę o tak drażliwym dla niej przedmiocie.

— Przepraszam panią, odpowiedział Kolin, czuję to sam że niepotrzebnie dotknąłem tego przedmiotu, który tak opanował mój umysł że zapomniałem że to są wiadomości niewłaściwe dla miss... miss Oliwii. Widzi pani, o mało nie zapomniałem...

— Mego nazwiska? przerwała śmiejąc się Oliwia; nie ma w tem nic dziwnego, ponieważ pan nie zna go wcale.

— Jakto! wszakże mi je pani powiedziała w czasie mojej pierwszej tu bytności.

— Bynajmniej! powiedziałam panu moje imię, ale nie zna pan wcale mego nazwiska, gdy ja przeciwnie wiem jak się pan nazywa.

— Jakim sposobem? nie powiedziałem pani tego, odpowiedział Kolin z żywością.

— Pan nazywa się pan Walkfast, wszak prawda? rzekła Oliwia.

— Jest to tylko nazwisko nadane mi przez panią, ale rzeczywiście mam inne którego dotąd nie wymieniałem, odrzekł wesoło.

— Córka moja zapewniła mnie że się pan nazywa Walkfast, i sądziłam że tak jest rzeczywiście, odezwała się Estera, ale utrzymywała jednocześnie że pan jest Szkotem, i wyznaję...

— Że pani mnie wzięła za jakiegoś awanturnika, zawołał Kolin, który dostrzegł że pani Seaforth nie śmiała dokończyć — i nie dziwi mnie to wcale. Nie ma i nie było tam nigdy klanu Walkfast, ale jest klan Fraser, do którego ja należę, i nazywam się Kolin Fraser. Jestem szkotem i miejscem mego zamieszkania powinnaby być śliczna dolina w północnej części kraju, ale niestety! los zawistny rzucił mnie na obcą ziemię.

— Teraz, droga mateczko, musiałaś uspokoić się już zupełnie, skoro dowiedziałaś się nazwiska naszego gościa, rzekła Oliwia.

— Tak, moje dziecię, odpowiedziała z roztargnieniem Estera, a potem mówiła cicho jakby do siebie: Kolin Fraser, Kolin Fraser; tak nie mylę się... ale jest w tem zawsze coś dla mnie niezrozumiałego.

— Pan Fraser ma dotąd tylko niepłatną posadę przy ambasadzie, mówiła dalej Oliwia, lecz kiedyś zajmie z pewnością jakieś ważne miejsce w dyplomacyi. Ale powiedz mi, mateczko, jakim sposobem odgadłaś że pan nie nazywa się naprawdę Walkfast?

Estera nie odpowiedziała na to pytanie. Zadziwiona śmiałem obejściem Oliwii, zadawała sobie niespokojnie pytanie, jakim sposobem jej córki zrodzone i wychowane w samotności, nabiorą właściwego ułożenia i nawykną do form towarzyskich.

— Nie chciałbym okazać się niedelikatnym, odezwał się Kolin, ale byłbym bardzo szczęśliwym gdybym mógł dowiedzieć się nazwiska pani, którą mam zaszczyt znać dotąd tylko jako matkę miss Oliwii.

— Pan wybaczy, jeźli do pewnego czasu zamilczę jeszcze moje nazwisko, odpowiedziała Estera, a po chwili dodała uprzejmie: Panie Fraser, jeźli interesa pana nie sprzeciwiają się temu, zrobisz nam prawdziwą przyjemność pozostając do jutra pod naszym dachem. Nie znajdziesz tu wielkich wygód, ale przyjmiemy cię ze szczerą gościnnością.

Łatwo się domyśléć że Kolin przyjął jak najchętniej tak uprzejme zaproszenie.

W tej chwili nadeszły właśnie Estera i Wenecya, i rozmowa zwróciła się na inny przedmiot, a pani Seaforth odeszła aby zająć się przygotowaniem pokoju dla gościa.

Kolin i Oliwia wybrali się na przechadzkę, i rozmawiając z sobą zapomnieli zupełnie że czas szybko upływa, i gdy wrócili do domu, zastali już wszystkich przy stole nakrytym do wieczerzy.

Cały ten wieczór miał pozostawić niezatarte wspomnienie w sercu i pamięci Kolina.

Po wieczerzy całe towarzystwo udało się do gaju pomarańczowego, gdzie tak Oliwia jak obie jej siostry śpiewały stare ballady. Srebrzysty blask księżyca przedzierając się przez gałęzie, rozsiewał w koło swe łagodne światło, i Kolin pomyślał że nigdy jeszcze tak zachwycający obraz nie przedstawił się jego oczom.

Jakże gorąco pragnął aby ten prześliczny wieczór mógł trwać jak najdłużej. Ale Estera nie przeczuwała widać tego, bo po niejakim czasie przypomniała tak córkom jak gościowi, że już czas udać się na spoczynek.

Odprowadziła Kolina do gabinetu męża, córki do ich pokojów, a sama weszła do siebie; lecz po niejakim czasie, gdy w pokojach córek pogasły światła, zapaliła świecę, zeszła cicho ze schodów i zapukała do drzwi Frasera. „Proszę wejść,” rzekł Kolin, ocucony nagle z zamyślenia. Pani Seaforth weszła, zamknęła drzwi, a zbliżając się do niego prosiła o chwilkę rozmowy, jeżeli nie czuje się bardzo znużony.

Zmieszany tem jej nagłem ukazaniem się Kolin, wyobraził sobie że Estera przyszła oznajmić mu że nie życzy sobie aby nadal bywał w jej domu. Pomimo to podał jej krzesło z pełnem uszanowania ukłonem, i oświadczył swą gotowość zastosowania się do jej życzenia.

## XXII.

### Rozmowa.

Zaraz pierwsze słowa Estery przekonały Kolina, że przypuszczenia jego były mylne.

— Panie Fraser, rzekła pani Seaforth, nie jesteśmy sobie zupełnie obcymi; czy nie domyślasz się w czyim znajdujesz się domu?

Kolin spojrzał na nią z najżywszem zadziwieniem.

— Nie powiedziałam panu dotąd mego nazwiska, bo nie chciałam aby córki moje dowiedziały się o tem czego się domyśliłam, skoro pan wymienił swoje nazwisko. Powiedz mi, panie Fraser, czy nie wychowałeś się w zamku Seaforth i czy tam nie poznałeś przybranego syna lorda Seaforth.

— Tak, Godfreda Seaforth, zawołał Kolin zdziwiony. Więc pani zna Godfreda? dodał po chwili.

— Jestem jego matką, odpowiedziała Estera.

— Jego matką! pani jest matką Godfreda! zawołał niespokojnie Kolin.

Stanęły mu w myśli obrazy z przeszłości, przypomniał sobie przewinienia własnej matki względem Godfreda. Jakież uczucia musiały ożywiać w tej chwili serce pani Seaforth? Zwrócił na nią przenikliwe spojrzenie, ale nie dostrzegł na jej bladej twarzy wyrazu gniewu ani też niechęci, zdradzała tylko głęboki smutek.

— Co się stało z moim synem? zawołała z boleścią. O! jeźli pan wiesz o tem, powiedz mi przez litość. Może masz o nim jakie wiadomości?

— Nie pani, odpowiedział Kolin wstrząsając smutnie głową; nie słyszałem nic o panu Seaforth.

Zrozpaczona matka zakryła rękami twarz zalaną łzami.

— Ale, odezwała się po chwili, może mógłbyś mi pan dać jakieś objaśnienia odnoszące się do jego przeszłości. Wszystkie szczegóły jego życia w Seaforth są dla mnie bardzo ważne, gdyż mogą mi dopomódz do zrozumienia teraźniejszości. Proszę pana staraj się przypomniéć sobie wszystko.

Biedny Kolin, jakże się potrafi wywiązać z tak przykrego zadania! Jak potrafi opowiedziéć to o czem sam pragnął zapomniéć zupełnie? Czuł jednak że powinien spełnić życzenie pani Seaforth, i tylko starał się o ile możności usprawiedliwić swą matkę i złagodzić jej przewinienia względem Godfreda.

— Zdaje mi się że już nie żyje? odezwała się Estera.

— Tak, niestety! odpowiedział z westchnieniem Kolin. Biedna, droga moja matka, była trochę prędka, i nie mogła tego znieść aby jej się sprzeciwiano. Zabiło ją zmartwienie, gdy się przekonała że musi się wyrzec swych najdroższych nadziei! ale przed śmiercią żałowała gorzko że była tak prędką, i czasem niesprawiedliwą, a nawet zapewniła mnie i mego brata, że gdyby na nowo rozpoczęła życie postępowałaby już zupełnie inaczej. Prócz tego zobowiązała nas abyśmy w jej imieniu prosili o przebaczenie Godfreda, jeżeli go kiedyś spotkamy. Za to jednak mogę zaręczyć, że ani postępowanie, ani słowa mej matki nie wywarły najmniejszego wpływu na lorda Seaforth; jest w tem jakaś tajemnica którą kiedyś dopiero poznamy; sądzę jednak, dodał ciszej, że się sprawdzą moje przypuszczenia.

Te ostatnie słowa nie uszły uwagi Estery, i prosiła Kolina aby jej objawił swoje zdanie.

Zarumienił się i odpowiedział śpiesznie:

— O! niepodobna; niech pani nie nalega na mnie; zapomniałem do kogo mówię.

Estera zwróciła na niego przenikliwe spojrzenie i odpowiedziała spokojnie choć z głębokim smutkiem.

— Niech pana nie powstrzymuje ta obawa że możesz mnie obrazić; niech w tej chwili będę dla pana tylko matką Godfreda, i mów śmiało.

— Skoro pani każe, będę posłusznym. Otóż wyobraziłem sobie że Godfred uległ wpływom ojca, który wprowadził go na złą drogę.

*(D. c. n.)*



*Pl. 474.*

# TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.